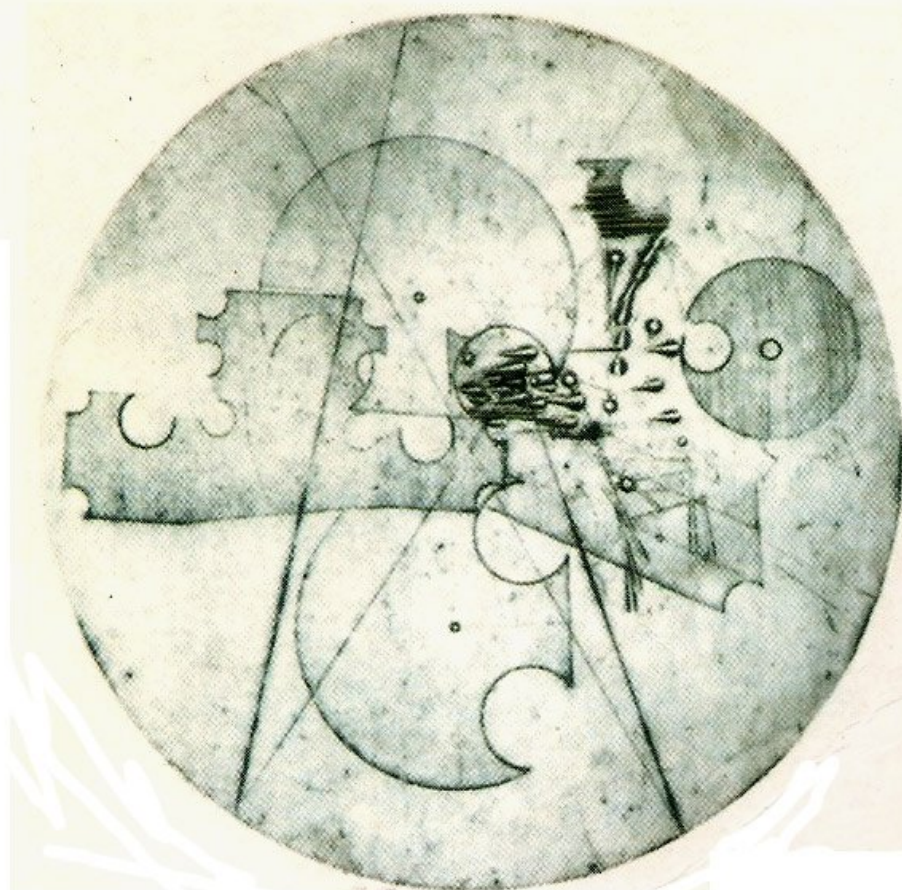


Bohumil

HRABAL

swiat
literacki

**Pociągi
pod specjalnym
nadzorem**



Bohumil Hrabal

**Pociągi pod specjalnym
nadzorem**

(Przekład: Andrzej Czibor-Piotrowski)

W tym roku, w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, Niemcy nie panowali już w powietrzu nad naszym miasteczkiem. A cóż dopiero mówić - nad całą okolicą, całym krajem. Piloci samolotów nurkujących do tego stopnia zdezorganizowali transport, że pociągi poranne kursowały w południe, południowe - wieczorem, wieczorne zaś - nocą, tak iż zdarzało się, że pociąg popołudniowy przyjeżdżał punktualnie co do minuty według rozkładu jazdy, ale działo się tak dlatego, że był to o cztery godziny spóźniony przedpołudniowy pociąg osobowy.

Przedwczoraj nieprzyjacielski samolot myśliwski ostrzelał nad naszym miasteczkiem niemiecką maszynę, tak że odpadło jej skrzydło. A potem kadłub zapalił się i runął gdzieś na pole, skrzydło to zaś, odłamując się od kadłuba, wyrwało parę garści śrubek i nakrętek, które spadły na plac, szczerbiąc po drodze głowy kilku kobiet.

A skrzydło szybowało nad naszym miasteczkiem; kto tylko mógł, patrzył na nie aż do chwili, kiedy opuściło się skośnym lotem nad sam plac, gdzie wysypali się goście z obu restauracji, po czym cień tego skrzydła poruszał się po placu i ludzie rzucali się na drugą stronę placu, to znów z powrotem tam, gdzie stali przed chwilą, bo skrzydło to poruszało się wciąż jak ogromne wahadło, które kierowało obywateli w stronę odwrotną od kierunku ewentualnego upadku, wydając przy tym coraz głośniejszy gwizd i ton coraz śpiewniejszy. Następnie błyskawicznym ślizgiem runęło do ogrodu księdza dziekana.

Nie upłynęło pięć minut, a ludzie już szabrowali płyty i blachy z tego skrzydła, które nazajutrz pojawiły się jako daszek bądź na klatce dla królików, bądź na kurniku, a pewien spryciarz tegoż popołudnia wykrawał z tej zdobycznej blachy elementy, robiąc z nich wieczorem piękne osłony na nogi do motocykli.

W ten sposób zniknęło nie tylko skrzydło, ale cała blacha i inne części samolotu Trzeciej Rzeszy, który spadł za miasteczkiem na przysypane śniegiem pola.

I ja pojechałem tam na rowerze - mniej więcej w pół godziny po zestrzeleniu samolotu - aby zobaczyć, co i jak. I już wówczas spotykałem po drodze mieszkańców miasteczka, którzy wieźli na wózkach łupy, jakie zdobyli. Trudno się było domyślić, co

też to być może. Ale ja jechałem sobie dalej na rowerze; chciałem popatrzeć na ten rozbity samolot. Nie znośłem zapobiegliwych ludzi: ja i zbieranie czy też odkręcanie jakichś części, jakichś rupieci - też pomysł!

Wydeptaną w śniegu ścieżką, która prowadziła już do tych czarnych szczątków, siedł mój ojciec, niósł jakiś srebrny instrument muzyczny i uśmiechając się potrząsał srebrnymi kiszeczkami - jakimiś rurkami. Tak, były to rurki z samolotu, przewody, którymi płynęła benzyna. Dopiero wieczorem w domu zrozumiałem, dlaczego tatuś tak bardzo cieszył się z tej zdobyczy. Pociął je na równe kawałki, wyczyścił, po czym obok tych sześćdziesięciu lśniących rurek położył swój wieczny ołówek z wysuwającym grafitem.

Mój ojciec potrafił zrobić wszystko na świecie, bo skończywszy czterdzieści osiem lat przeszedł na emeryturę.

Był maszynistą kolejowym i od dwudziestego roku życia jeździł parowozem, miał więc przepracowaną podwójną liczbę lat, ale mieszkańcy miasta szaleli z zazdrości, kiedy pomyśleli sobie, że ojciec może żyć na tym świecie jeszcze dwadzieścia albo i trzydzieści lat. A zresztą tatuś i tak wstawał wcześniej niż ci, co chodzili do pracy. W całej okolicy zbierał wszystko, co się dało: śruby, podkowy, z publicznych śmietników wyciągał to jakiś niepotrzebny drobiazg, to jakąś muterkę, i wszystko to skrzętnie gromadził w domu, w komórkach i na strychu, tak że wyglądało tam u nas jak w składnicy złomu. Jeśli ktoś chciał się pozbyć starych mebli, wszystkie zabierał nasz ojciec, tak że chociaż było nas w domu tylko troje, mieliśmy pięćdziesiąt krzeseł, siedem stołów, dziewięć otoman i mnóstwo szafek oraz umywalek z dzbankami. Ale i tego było ojcu mało, jeździł na rowerze po najbliższej i nieco dalszej okolicy, motyczką przekopywał śmietniki i wieczorem wracał z bogatym łupem, wszystko bowiem mogło się kiedyś przydać; i przydawało się, gdyż ilekroć ktoś czegoś potrzebował, czegoś, czego już nie produkowano, jakiejś części do samochodu albo do śrutownicy, czy też do młockarni, i nie mógł tego nigdzie kupić, przychodził do nas... ojciec zamyślał się, po czym szedł nieomylnie albo na strych, albo do komórki, albo wprost do leżącej na podwórzu kupy złomu, sięgał ręką i po chwili wyjmował jakiś przedmiot, który rzeczywiście się nadawał.

Dlatego mój tatuś był kierownikiem „żelaznych niedziel” i kiedy odwoził wszystkie te żelazne odpady na stację kolejową, to zawsze jechał koło naszej bramy i odsypywał trochę z tej żelaznej zbiórki.

Mimo to sąsiedzi nie potrafili mu wybaczyć.

A to chyba dlatego, że nasz pradziadek Łukasz od osiemnastego roku życia brał dukata renty dziennie, co później - za Republiki - przeliczono mu na korony. Mój pradziadek urodził się w tysiąc osiemset trzydziestym roku, w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym był w wojsku doboszem i w tej funkcji walczył na Moście Karola; tu studenci rzucali w żołnierzy wyrwanymi z bruku kamieniami i trafili pradziadka w kolano, czyniąc zeń kalekę na całe życie. Od tego czasu pradziadek otrzymywał rentę, dukata dziennie, za którego kupował sobie butelkę rumu i dwie paczki tytoniu, i zamiast siedzieć w domu, palić i popijać - włóczył się po ulicach i po drogach polnych, najchętniej tam, gdzie ludzie ciężko pracowali i tam pradziadek drwił z tych robotników i pił ten rum, i palił ten tytoń, tak że co roku tak gdzieś pradziadka Łukasza zbito, że dziadek przywoził go do domu na taczkach. Pradziadek jednak, ledwie się z ran wylizał, znowu tak długo wypytywał ludzi, kto na tym lepiej wyszedł, aż znów go ktoś gdzieś sprął zupełnie nie po chrześcijańsku. Dopiero upadek Austrii zabrał pradziadkowi rentę, tę rentę, którą otrzymywał przez siedemdziesiąt lat. A za Republiki ta renta przestała wystarczać na butelkę rumu i dwie paczki tytoniu, mimo to jednak pradziadka Łukasza co roku bito gdzieś do nieprzytomności, nadal bowiem chwalił się tymi siedemdziesięciu laty, kiedy to codziennie miał butelkę rumu i tytoń. Tak długo to pradziadek robił, aż pewnego dnia w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku zaczął się chwalić przed kamieniarzami, którym właśnie zamknięto kamieniołom, i ci tak go zbili, że umarł. Doktor mówił, że mógłby żyć jeszcze ze dwadzieścia lat.

Żadna inna rodzina nie leżała tak na wątrobie całemu miastu.

Mój dziadek - jako że jabłko nie padło zbyt daleko od pradziadka Łukasza - był z kolei hipnotyzerem, który występował w pomniejszych cyrkach, a całe miasto widziało w tym jego hipnotyzerstwie tylko chęć jak najłatwiejszego przejścia przez życie. Kiedy jednak w marcu Niemcy przekroczyli nasze granice, aby zająć cały kraj, i szli w kierunku na Pragę, jedynie nasz dziadek ruszył do walki z nimi jako hipnotyzer, aby siłą swej myśli zatrzymać jadące czołgi. I szedł nasz dziadek drogą z oczyma utkwionymi w pierwszym czołgu, który jechał na czele zmotoryzowanych jednostek. A na tym czołgu - widoczny do pasa - stał w wieżyczce niemiecki żołnierz, w czarnym berecie na głowie, z trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, mój dziadek zaś szedł wprost na ten czołg z rękami wyciągniętymi przed siebie i oczyma dawał Niemcom rożka?,: „Zawróćcie i wracajcie tam, skąd przyszliście...”. I rzeczywiście: ten pierwszy czołg się zatrzymał i zatrzymała się też cała armia, dziadek palcami dotykał

blach tego czołgu i wciąż przekazywał Niemcom w myślach ten sam rozkaz: „Zawróćcie i wracajcie tam, skąd przyszliście! Zawróćcie...”. Po chwili porucznik dał znak chorągiewką i czołg ruszył, ale dziadek nie ustąpił i czołg go przejechał, urywając mu głowę, i nic już nie stało wojskom niemieckim na drodze. Ojciec wyruszył wkrótce na poszukiwanie dziadkowej głowy. Ten pierwszy czołg pozostał na drodze przed Pragą, musiał czekać na specjalny dźwig, głowa dziadka dostała się bowiem między koła i gąsienice, a te gąsienice bardzo były napięte; ojciec wybłagał, aby mu pozwolono wydobyć głowę dziadka, a potem pochował ją wraz z ciałem, tak jak przystoi grzebać chrześcijanina.

Od tego czasu ludzie w naszych stronach rodzinnych toczyli ożywione spory. Jedni krzyczeli, że nasz dziadek był skończonym idiotą, drudzy zaś, że nie całkiem, bo gdyby wszyscy stanęli tak jak on przeciw Niemcom z bronią w ręku, kto wie, jakby Niemcy na tym wyszli.

W owych czasach mieszkaliśmy jeszcze za miastem, dopiero później przeprowadziliśmy się do miasta, i mnie, przywykłemu do pustkowi, zawsze ilekroć przyjeżdżaliśmy do miasta, świat wydawał się ogromnie ciasny. Od tego czasu oddychałem pełną piersią dopiero wtedy, kiedy znajdowałem się za miastem. A kiedy znowu wracałem, kiedy za mostem ulice i uliczki się zwężały, zmniejszały, zwężałem się i zmniejszałem i ja; zawsze miałem i mam, i będę miał wrażenie, że za każdym oknem znajduje się co najmniej jedna para oczu, które na mnie patrzą. Kiedy ktoś zwracał się do mnie, stawałem w pąsach, wydawało mi się bowiem, że wszystkim ludziom coś się we mnie nie podoba. Przed trzema miesiącami podciąłem sobie żyły w przegubach rąk, a niby to nie miałem ku temu powodu. Ale ja powód miałem i znałem go, i bałem się bardzo, że każdy, kto na mnie popatrzy, od razu ten powód odgadnie. Oto dlaczego za każdym oknem ta para oczu. Cóż jednak może sobie człowiek myśleć, kiedy ma dwadzieścia dwa lata? Mogłem myśleć, że ludzie w naszym miasteczku dlatego na mnie patrzą, iż podciąłem sobie żyły w tym celu, aby unikać pracy, którą oni muszą za mnie wykonywać, tak jak robili to za naszego pradziadka Łukasza i za dziadka Wilhelma, który był hipnotyzerem, i za mojego tatusia, który tylko dlatego jeździł ćwierć wieku parowozem, aby potem już nic nie robić.

W tym roku Niemcy nie panowali już w powietrzu nad naszym miasteczkiem. Kiedy przejechałem ścieżką aż do samego kadłuba samolotu, śnieg lśnił na równinie i w każdym kryształku śniegu jakby tykała malutka wskazówka sekundnika, tak się ten śnieg w gwałtownym blasku słońca mienił wszystkimi kolorami; słyszałem to tykanie

wskazówki nie tylko w każdym kryształku, ale i gdzie indziej jeszcze. Mój zegarek oczywiście tykał także, ale ja słyszałem jeszcze inne tykanie, i tykanie to dobiegało z samolotu, z tych szczątków. Rzeczywiście tykał tam zegar pokładowy i wskazywał nawet dokładny czas, który porównałem ze wskazówkami mojego zegarka. A potem spostrzegłem, że tam głębiej, znajduje się objęta słonecznym blaskiem rękawiczka, i wiedziałem doskonale, że rękawiczka ta nie jest sama, że tkwi w niej ludzka ręka, i że ta ręka nie jest sama, ale że ma ramię, i że to ramię należy do ludzkiego ciała, które leży gdzieś tam wśród tych szczątków...

Całym ciężarem nacisnąłem na pedał roweru, ze wszystkich stron tykały miniaturowe wskazówki sekundników, wprawione w ruch blaskiem słońca, a po torze mknął grzechocząc wesoło pociąg towarowy: składał się z węglarek, wracał do mosteckiego zagłębia; z pewnością sto czterdzieści osi; pośrodku pociągu zablokował się hamulec, metal rozgrzał się do czerwoności i wyciekał na tor, ale niemiecki parowóz ciągnął radośnie nawet i ten wagon z zablokowanym hamulcem.

Już jutro będę stał przy dwutorowym szlaku kolejowym na swojej stacyjce, gdzie wszystkie pociągi idące z zachodu na wschód będą - zgodnie z rozkładem jazdy - oznaczone numerami nieparzystymi, natomiast pociągi jadące ze wschodu na zachód - numerami parzystymi. Znowu - po trzech miesiącach przerwy - będę kierował ruchem, znowu będę na stacji, przez którą przebiegają tory, z których pierwszy tor przelotowy z zachodu na wschód ma numer jeden, drugi zaś tor przelotowy ze wschodu na zachód - numer dwa; za torem numer jeden wszystkie następne tory po prawej ręce mają numery nieparzyste - trzy, pięć, siedem i tak dalej, a wszystkie następne tory za torem przelotowym numer dwa mają numery parzyste - cztery, sześć, osiem i tak dalej. Oczywiście numeracja ta przeznaczona jest dla nas, pracowników kolei państwowych, z punktu widzenia laika bowiem, który stoi na peronie dworca, na przykład na mojej stacyjce, pierwszy tor jest piątym, drugi tor - trzecim, trzeci tor - pierwszym, czwarty zaś - drugim...

A więc jutro raniutko włożę mundur, czarne spodnie i błękitną bluzę, i płaszcz służbowy z mosiężnymi guzikami, które mama czyści mi sidolem; później dopnę piękny kołnierz, na którym - zarówno u płaszcza, jak i u bluzy - są takie same znaki; każdy kolejarz pozna po nich od razu, jakie stanowisko służbowe zajmuję. Znajdujący się na kołnierzu guzik absolwenta szkoły średniej informuje każdego, że mam maturę. Wyszyta obok złotymi nićmi prześliczna gwiazdka mówi, że jestem elewem komunikacji. Ponadto na kołnierzu lśni jeszcze najpiękniejsze godło: uskrzydłone

kółko ozdobione błękitnym i fioletowym cekinem, przypominające złotego konika morskiego.

A więc wyjdę jeszcze po ciemku, moja matka będzie odprowadzać mnie wzrokiem, będzie stać bez ruchu za firanką, tak samo jak za wszystkimi oknami, obok których będę przejeżdżał, wszędzie stać będą ludzie, tak jak moja mama patrzeć będą na mnie z palcem na firance, ja zaś będę jechał w stronę rzeki, gdzie na ścieżce odetchnę sobie pełną piersią, tak jak zawsze, bo niechętnie jeżdżę do pracy pociągiem, tu, nad rzeką, lekko mi się oddycha, nie ma tu żadnych okien, żadnych pułapek, żadnych igieł wbijanych zniechęca w tył głowy.

W kancelarii dyżurnego ruchu wszystko było takie samo jak wtedy, nim ją opuściłem. Blok zamykający zapory drogowe nadal przypominał ogromną katarynkę albo automat do gry, stół telegraficzny stał pod oknem, z którego rozpościerał się widok na pięciokilometrowej długości drogę polną wysadzaną starymi jabłoniemi, drogę, na której końcu błyszczał zamek księcia Kinskiego; zamek ten dziś rano, kiedy wzeszło słońce, stał aż po pierwsze piętro w mgłę, tak że wyglądał, jakby zawieszono go na złotym łańcuchu. Na tym stole znajdowały się trzy aparaty telegraficzne, wyprodukowane przed pół wiekiem w firmie Siemens Halske i trzy dalekopisy telegraficzne. A także dwa telefony liniowe oraz trzy telefony dworcowe, które ciągle włączały się i wyłączały, tak że w kancelarii dyżurnego ruchu nieustannie rozlegało się subtelne gruchanie i dzwonienie, i szczebiotanie telegrafów i telefonów, jak w sklepiku handlarza ptactwem śpiewającym.

W okienku poczekalni wciąż wisiała zielona zasłonka ściągnięta mosiężnymi kółkami, a tuż obok znajdowała się metalowa szafa i maszyna do datowania biletów.

Dyżurny ruchu, pan Całusek, przywitał się ze mną i powiedział od razu, że będziemy pracować razem, że po trzech miesiącach chorowania muszę znowu przejść gruntowne przeszkolenie. A potem pan dyżurny ruchu zapytał mnie, która godzina, i odsunął rękaw z mojego przegubu; nie patrzył na zegarek, ale wprost na bliznę po wygojonej ranie.

Zaczerwieniłem się i natychmiast udałem, że szukam swojej czerwonej czapki. Leżała w szafie, strasznie zakurzona, na denku spostrzegłem ślady mysich łapek. W blasku porannego słońca szcztkowałem czapkę służbową i słuchałem, jak w gołębniku gruchają gołębie pana zawiadowcy.

Za budynkiem stacyjnym widać było wszystkie przeszkody na torze wyścigowym, całym tym miniaturowym torze Wielkiej Pardubickiej, ponieważ książę Kinski hodował wyścigowe konie półkrwi, które wygrywały dlań nie tylko Wielką Pardubicką, ale nawet Wielką Liverpoolską, niemal milion funtów szterlingów, było to wówczas tyle pieniędzy, że książę zaczął za naszą malutką stacyjką budować ogromne kino i teatr, i salę koncertową dla naszej wioski, ale budowy nie dokończył, a więc przemienił to na spichlerz, gdzie gromadził ziarno, najpiękniejszy spichlerz na świecie, do którego wchodziło się przez rzymsko-grecką kolumnadę. Spichlerz ten nazywano z angielska - liwerpulem.

Punktualnie o wpół do ósmej wszedł do kancelarii dyżurnego ruchu pan zawiadowca. Ważył z górą sześć pudów, ale kobiety mówiły o nim, że tańczy niewiarygodnie leciutko. Włoski tak sobie układał, że szeszywał je z lewej strony przez łysinę na stronę prawą, z prawej zaś od ucha przez łysinę na stronę przeciwną. Ilekroć jednak szedł tak po peronie, gdy wiał wiatr, to odklejał mu on i podnosił ten gotycki łuk jego owłosienia.

Teraz otworzył drzwi do swojego gabinetu. Nikt by się nie spodziewał, że zawiadowca tak malutkiej stacyjki ma w ten sposób urządzonego gabinet. Perski dywan lśnił nieodmiennie czerwonymi i błękitnymi kwiatami, trzy tureckie taborety podkreślały jeszcze jego orientalny charakter. Ciężkie inkrustowane biurko z mahoni przysłaniały wielkie liście ogromnej palmy, tworząc nad weneckim fotelem rodzaj baldachimu. W ogóle cały ten gabinet sprawiał wrażenie, iż można go wraz z panem zawiadowcą unieść jak lektykę, taką, w jakiej nosi się papieża.

Na rokokowej szafce stał zegar z marmuru, mający zamiast wahadła trzy połączane kule, które obracały się na przemian raz w tę, raz w drugą stronę i każdy, kto słyszał, jak zegar wybija godziny, zwracał ku niemu oczy i mówił:

- Ale ten zegar pięknie dzwoni!

Oprócz tego stała w gabinecie służbowa kanapa pokryta ceratą koloru czekolady, a na ścianie wisiał piękny obraz olejny przedstawiający parowóz pociągu pospiesznego wyjeżdżający z praskiego Dworca Wilsona: maszyna puszcza parę na tory i w niebo i rusza w obłoku. Obraz wzruszający każdego pracownika kolei państwowych, a co dopiero naszego pana zawiadowcę, który miał tylko dwa cele w życiu: aby mianowano go inspektorem kolei państwowych i aby zdobył sobie prawo do przydomka: baron Lanski z Róży, gdyż czyniąc poszukiwania genealogiczne odkrył, że w jego żyłach płynie odrobina błękitnej krwi. Miał więc w sobie błękitną krew niejako podwójnie, bo i kolejarzy nazywano przecież błękitną arystokracją.

Skądinąd miał pan zawiadowca zupełnie zrozumiałe zamiłowanie do hodowli gołębi. Przed wojną hodował z upodobaniem badgety norymberskie, gołębie o agresywnych czarnych i białych strzałkach na skrzydłach, którym sam codziennie czyścił gołębniki, zmieniał wodę i sypał poślad. Kiedy jednak Niemcy tak brutalnie napadli na Polaków, a potem ich pobili, pan zawiadowca pewnego dnia nie otworzył kratki w okienku i przed wyjazdem do Gródka kazał dworcowemu posługaczowi wszystkie te badgety norymberskie co do jednego podusić. W tydzień później przywiózł rysie polskie, gołębie o pięknym niebieskim wolu i prześlicznych

skrzydłach, ozdobionych szarymi i białymi trójkątami, które tak są do siebie dopasowane jak kafelki w łazienkach.

Stałem między torami i czułem, że ktoś na mnie patrzy, odwróciłem się, ale dopiero spojrzawszy niżej przez otwarte okienko piwnicy, zobaczyłem tam w mroku oczy pani zawiadowczyni, która karmiła gąsiora i patrzyła na mnie. Bardzo lubiłem panią zawiadowczynię, często pod wieczór przychodziła do kancelarii i siedząc tam robiła szydełkiem duży obrus na stół, to jej szydełkowanie tchnęło ogromną ciszą, nieustannie spod jej palców pojawiały się coraz to nowe kwiaty i coraz to nowe ptaki. Przed nią leżała na stole telegraficznym książka, nad którą pochylając się szukała dalszych wskazówek, jak przeplatać nitki; wyglądało to, jakby czytając nuty, grała na cytrze.

Co piątek natomiast pani zawiadowczyni zabijała króliki; oto jak to robiła: wyciągała królika z klatki, ścisnęła go nogami, a potem wbijała mu w szyję tępy nóż i podrzynała gardło zwierzątku, które piszczało, popiskiwało długo, po czym głosik jego słabł, pani zawiadowczyni jednak spoglądała tak samo jak wówczas, kiedy szydełkowała ten duży obrus. Mówiła, że kiedy się królik w ten sposób wykrwawi, mięso jego jest znacznie smaczniejsze, bardziej kruche. Oczywiście wyobraźni widziałem już, jak będzie zarzynać owego gąsiora: usiądzie sobie na nim jak na koniu, przycisnie jego pomarańczowy dziób do szyi, tak jakby zamykała kieszonkowy kozik, najpierw mu starannie wyskubie pierze na ciemieniu, a potem krew jego będzie ściekać do garnka, ptak będzie słabł, słabł coraz bardziej, aż zupełnie obwiśnie, pani zawiadowczyni przechyli się, będzie siedziała już tylko na swoich piętach.

- Elewie Pipko! - zawołał pan zawiadowca.

Pomaszerowałem więc do kancelarii, wyprężyłem się i zasalutowałem:

- Elew Milosz Pipka melduje się na służbie!

- Siadaj! - polecił pan zawiadowca, wstając od biurka, tak że liść palmy położył mu się na głowie. Przez chwilę stał przede mną, jego wypłakane oczy wędrowały po moim mundurze, po czym dopiął mi guzik bluzy. - A więc, drogi Pipko, czyś spostrzegł, że nie mamy tu telegrafistki?

- Zdeniczki Świętej! - dorzuciłem.

- Świętej... aha - odparował pan zawiadowca. - A nic o niej w mieście nie słyszałeś?

- Nie słyszałem... a co ma być?

- To dziwne. Naszego pana dyżurnego ruchu przyjeżdżają tu oglądać niemal całe wycieczki. Jakby miał cztery nogi! Albo dwie głowy. Znakomicie rozszławił naszą cichą, spokojną stacyjkę, nie ma co mówić!

- A więc pan dyżurny ruchu znowu coś przeszkrobał? - spytałem. - Bo jak pracowałem w Dobrowicy i pan dyżurny ruchu udzielał mi jako praktykantowi rad i wskazówek, to przyjeżdżali, aby na niego popatrzeć, ludzie z całego odcinka... To było wtedy, jak z pewną damą rozdarł kanapę pana zawiadowcy.

- Tę austriacką ceratową kanapę? - Pan zawiadowca miał szeroko otwarte oczy.
- Taką jak ta?

- Dokładnie taką samą - powiedziałem.

- Siadaj, Miloszu! - Pan zawiadowca złagodniał i sam usiadł na drugim taborecie jak na koniu, osłaniając ręką ucho.

- To było tak - opowiadałem wprost w ucho pana zawiadowcy - ostatni nocny pociąg osobowy już odjechał, a od zmierzchu siedziała z nami w kancelarii dyżurnego ruchu pewna wytworna dama, pijąc wino i paląc papierosy. Przed północą dyżurny ruchu, pan Całusek, i mówi do mnie: „Miloszu, wprawdzie jesteś dopiero praktykantem, ale ja mam do ciebie zaufanie. Posiedzisz tu za mnie jakieś dwie godzinki"! A więc zgodziłem się go zastąpić, zaś dyżurny ruchu, pan Całusek, udał się z ową damą do gabinetu pana zawiadowcy. Przyłożyłem ucho do drzwi i słyszę: „Ciało ma swoje wymagania, koteczku, ciało ma swoje prawa...".

- A to świnia wstrętna, a to wieprz nieczysty! - Pan zawiadowca podniósł się i ponad poruszającymi łebkami i gruchającymi gołębiami spoglądał na peron, gdzie stał dyżurny ruchu.

- Gdybyż to przynajmniej patrzyło mu z oczu, ta jego kujebacka natura - krzyczał pan zawiadowca, a dyżurny ruchu włożywszy sobie palec do ucha poruszał nim, jakby wytrząsał z ucha ostatnią kroplę.

- Cicha woda brzegi rwie - powiedziałem. - O godzinie pierwszej po północy, kiedy pociąg towarowy zabrał wagony z cukrem, stukam ci ja i słyszę z gabinetu pana zawiadowcy taki dźwięk, jakby ktoś przesuwiał trumnę... A wkrótce potem okropny hałas. Wpadam do gabinetu pana zawiadowcy... a tam owa dama leży na wznak na kanapie, zupełnie naga, z - o tak - rozrzuconymi nogami! A dyżurny ruchu, pan Całusek, leży na ziemi w kałesonach, tak jak ten żołnierz w naszym kościele, kiedy otwarto grób boży. I mówi do mnie: „Miloszu, źle obliczyłem kontrę... spadłem z ołtarza miłości...".

- A to hiena plamista! - krzyczał pan zawiadowca i oparty o futrynę okna patrzył na dyżurnego ruchu, który rozstawiwszy szeroko nogi stał na peronie i spoglądał w niebo.

- A jak tam ta nierządnicza leżała na kanapie zawiadowcy, jak? - Pan zawiadowca odwrócił się.

- Jeśli pan pozwoli, to pokażę - oświadczyłem.

Wskazałem ceratową kanapę, skoczyłem, wywinąłem kozła w powietrzu i opadłem na plecy.

Pan zawiadowca pochylił się nade mną i groził:

- Niech się tak pokłada z kurwami w poczekalni, a nie na kanapie swojego zawiadowcy.

- Bo na kanapie pana zawiadowcy może siadać tylko pan zawiadowca - powiedziałem.

- No widzisz, ale dla tego świńskiego wieprza nic nie jest święte! - krzyczał.

Usiadłem i powiedziałem:

- To jeszcze nie wszystko, panie zawiadowco, niech pan spojrzy! - Ująłem pana zawiadowcę za rękaw i pokazałem:

- O tu, w tym miejscu, cerata pękła na całej szerokości...

- Kanapę zniszczyli! - krzyczał pan zawiadowca.

- Rozdarli na pół kanapę zawiadowcy! A dzieje się tak dlatego, że nic już nad ludźmi nie ma! Ani Boga, ani mitu, ani alegorii, ani symbolu. Jesteśmy sami na świecie, dlatego wszystko jest dozwolone... ale nie dla mnie. Dla mnie Pan Bóg istnieje. A dla tamtego świńskiego wieprza istnieje tylko kotlet schabowy, knedle i kapusta...

Pan zawiadowca nic już nie mówił, tylko oddychał ciężko i sapał, patrząc na peron, na plecy dyżurnego ruchu, pana Całuska.

- To diabeł - odezwał się po chwili. - Człowiek, który od dziesięciu lat mógłby już być gdzieś zawiadowcą na jakiejś malutkiej stacyjce przy jednotorowym szlaku, a ciągle nie ma jeszcze ani jednej gwiazdki. Już, już ma otrzymać awans i nagle robi jakieś głupstwo, podczas gdy ja nieustannie pnę się w górę.

- Słyszałem - mówię - że będzie pan wkrótce inspektorem kolei państwowych.

- Mam nim zostać.

- Ach, i zamiast trzech gwiazdek będzie pan miał tylko jedną gwiazdę, ale otoczoną za to inspektorskim ogródkiem - zawołałem.

- Tak, Miloszu... - rozmarzył się pan zawiadowca.

- Taki przykład tu macie - powiedział i otworzywszy szafę, wyjął nową bluzę, na której był już wyszyty ów ogródek z diamentową gwiazdą - taki przykład macie w mojej osobie. A mimo to... jakbym rzucał perły przed wieprze...

- Taki inspektor - mówię - to na kolei to samo co w wojsku major, prawda?

- Tak, Miloszu - odparł pan zawiadowca.

Pierwszym torem przejechał długi pociąg towarowy, jechał z pełną szybkością i na szparach stykowych szyn osie podzwaniały głęboko i regularnie.

Pan zawiadowca ostrożnie wyrównał w szafie rękawy i klapy, aby ich przypadkiem nie pognieść, po czym wziął torbę z pośladem, otworzył okno i rysie polskie wleciały do biura, były się w powietrzu, który z nich siądzie na ramieniu pana zawiadowcy, a w końcu poobsiadały go wszystkie niczym jakiś pomnik albo fontannę, kiwały łebkami i łąsiły się do niego, jakby im wcale nie zależało na posiadzie, ale przede wszystkim na miłości, dziobały go w policzki, ale tak delikatnie, jakby to były jego malutkie dzieci.

Pociąg towarowy zniknął razem ze swoim łoskotem. Taki hałas zawsze towarzyszy pociągowi w ruchu, zupełnie tak samo jak w czasie pokoju każdemu wieczornemu pociągowi towarzyszą kwadraty i prostokąty oświetlonych okien.

- A cóż to takiego mógł pan dyżurny ruchu robić z naszą Zdeniczką? - spytałem.

- Bestialstwa - odparł pan zawiadowca i uśmiechając się nadstawiał gołąbkom usta. - Nawet zwierzę się na coś takiego nie zdobędzie! Ale, mój chłopcze, nie ja już się będę tym denerwował, sprawę przejęła komisja karna w Gródku... Krótko mówiąc, pan dyżurny ruchu podczas nocnej zmiany położył Zdeniczkę na stole, po czym uniósł jej spódnicę i wszystkie pieczętki naszej stacji odbił jedną po drugiej na dupęńce naszej telegrafistki. Nawet o datowniku nie zapomniał. A kiedy Zdeniczka wróciła do domu i matka sobie te pieczętki przeczytała, przybiegła tu natychmiast wołając, że pójdzie na skargę do gestapo. Musiałem więc, Miloszu, spisać protokół. Okropne! A Zdeniczka musiała udać się natychmiast do dyrekcji, gdzie obejrzał sobie te pieczętki sam pan dyrektor naczelny kolei państwowych. Coś strasznego! - wołał pan zawiadowca, a gołąbki spadały mu z rozrzuconych ramion i uderzały gwałtownie skrzydłami, aby utrzymać równowagę.

Wzdłuż ogrodzenia naszej stacji, tam po drugiej stronie, cwałowała na czarnym ogierze pani hrabina Kinska, która wracała już z folwarków; siedziała na siodle tak, jakby stanowiła jedną całość z kruczym rumakiem.

Pan zawiadowca wyszedł z tymi rysiami polskimi na peron i uklonił się nadjeżdżającej hrabinie, która przejechała przez tory i skierowała konia przed budynek stacyjny, gdzie tak lekko zeskoczyła z wierzchowca, że jej spodnie do konnej jazdy ledwie otarły się o skórzane siodło. Pan zawiadowca pocałował ją w rękę i obwieszony rysiami polskimi szedł obok pani hrabiny, jakby to było samo przez się zrozumiałe; pani hrabiny zresztą wcale nie dziwiły te gołębie, wprost przeciwnie: sama im nadstawiała rękawiczkę i rozmawiała z panem zawiadowcą.

Dyżurny ruchu, pan Całusek, nie mógł od hrabiny oderwać oczu.

- Wiesz, Miloszu, czym chciałbym być? Chciałbym przemienić się w to siodło! - I wskazał osiodłanego czarnego ogiera, po czym splunął, zaśmiał się i zwierzył mi się w zaufaniu: - Miloszu, miałem piękny sen. Śniło mi się, że jestem wózkim, a pani hrabina bierze mnie za dyszel i manewruje w stronę magazynu.

I znów bardzo nieskromnie popatrzył na panią hrabinę, na jej nogi, kiedy tak szła z panem zawiadowcą do spichlerza, do liwerpulu. Pana zawiadowcę tak przestraszyła pewna wiadomość, którą mu chyba hrabina właśnie w tej chwili przekazała, że przelęknione gołębie zerwały się z jego ramion i odleciały. Hrabina podała panu zawiadowcy rękę, którą ten uprzejmie ucałował, po czym chciał jej pomóc ze strzemieniem, ale pani hrabina wstrzymała go ruchem rączki i wspięła się na czarnego ogiera, rozchylając przy tym na chwilkę nogi, co widząc dyżurny ruchu, pan Całusek, otarł sobie wargi i oświadczył:

- Ale dupiara! - I splunął.

Pani hrabina cwałowała drogą ze stacji, czarny ogier odbijał się na tle śniegu, który iskrzył się różowo w słońcu.

Dyżurny ruchu, pan Całusek, dzielił kobiety na dwie kategorie: te, które miały przewagę od pasa w dół, nazywał - jak panią hrabinę - dupiarami, te natomiast, co miały przewagę od pasa w górę, a więc piękne piersi, określał mianem - cycowy. Tak jak fujara, spluwa, zasuwa i tak dalej.

Pan zawiadowca rozgniewany wpadł w drzwi stacji i zasyczał:

- Panie Całusek, nawet sama pani hrabina Kinska wie już o tym!

I odwrócił się w drzwiach, i ze straszliwą powagą zaczął kiwać głową, następnie zaś udał się po schodach wprost do kuchni, gdzie najpierw kilkakrotnie uderzył

krzesłem o podłogę, tak że aż w kancelarii dyżurnego ruchu tynk się posypał z sufitu, po czym zaczął krzyczeć przez świetlik:

- Przekleństwo wieku erotyki! Wszystko jest przeerotyzowane! Wszędzie same pokusy. Wyrastki i dzieci zakochani w dziewczynkach pasących gęsi. Tragedie miłosne podpatrzone na filmach erotycznych albo przejęte z lektury! Pod sąd pisarzy i wychowawców, i sprzedawców pornograficznych książek i obrazów! Precz ze zdradziecką wyobraźnią młodzieży! Poćwiartował trupa mleczarki i z pewnością pociąłby na kawałki również zwłoki swojej kuzynki, gdyby mu w tym nie przeszkodzono! W aptece wystawiono naturalnej wielkości model przedstawiający przekrój bioder kobiety! A młodzież chłonie to po prostu. Pracownia pewnego malarza budzi wątpliwości, czy nie weszło się aby przypadkiem do jatki z ludzkim mięsem. Kanibalizm. Wrońska w kufrze. Policja poszukuje blondyna ze złotym zębem. Widziano ich po raz ostatni w barze samoobsługowym „Korona”, kupował jej jabłko australijskie. Tfu, nic, tylko mięso! Tylko ciało! W perspektywie morderstwa na tle seksualnym. Na ławę oskarżonych z nauczycielami, którzy pozwalają na wykłady o sprawach płci! Im więcej niemoralności i zmysłowości, tym mniej kołysek, tym więcej trumien! - chrypiał pan zawiadowca przez świetlik z kuchni na pierwszym piętrze do kancelarii dyżurnego ruchu.

A to wszystko dlatego, że pan zawiadowca był z jednej strony członkiem TOM-u, czyli Towarzystwa Odnowy Moralnej w Pradze, z drugiej zaś pani hrabina - ilekroć zamawiała wagony w celu przywiezienia bydła rzeźnego - zawsze mu wyrzucała oziębłość w sprawach wiary przypominając, iż wraz z upadkiem Kościoła katolickiego upadnie cały świat.

I pan zawiadowca, ilekroć przechodził obok jakiegoś kościoła, to jeśli był w mundurze, salutował, jeśli zaś w ubraniu cywilnym, to zdejmował swój szwarcemberski kapelusz i kłaniał się kościołowi i coś do niego szeptał, o czymś do niego cicho mówił.

W bloku zatrzeszczało i czerwone kółeczko bręcząc przemieniało się w białe, wyciągnąłem więc klucz z bloku i wybiegłem na peron, do pomieszczenia służbowego, lokomotywa gwizdała przy wjeździe, a pan zawiadowca zstępował po schodach, jakby się nic nie stało, tak go oczyścił ten krzyk poprzez świetlik, jakby to była Ściana Płaczu. Pan Całusek opowiadał o nim, że w taki sam sposób zwykł krzyczeć również na swoją małżonkę, która - choć córka rzeźnika z Wolar - pozwalała mu na to bez słowa, ale cztery razy do roku podnosiła bunt i kiedy pan zawiadowca najbardziej na nią krzyczał i tłumaczył, co to znaczy porządna niewiasta, pani zawiadowczyni rzucała weń tym, co miała pod ręką. Pewnego razu przed Bożym Narodzeniem, kiedy zaczął się na nią wydzierać, zaciągnęła go do łazienki i tak mu dała w pysk, że wpadł do wanny, gdzie pływał wigilijny karp.

Pan zawiadowca wszedł do biura i wystarczyło mu jedno spojrzenie, by stwierdzić, że ze sprawami komunikacyjnymi nie wszystko jest w porządku.

- A więc, chłopcy - spytał ojcowskim tonem - orientujecie się w sytuacji?

- Pociąg wojskowy stał pod naszym semaforem. - Usta pana Całuska wykrzywił grymas.

- Ten transport pod specjalnym nadzorem? - Otworzył szeroko oczy.

- Ten z trzema wykrzyknikami - powiedziałem.

- Czytaliście?... - Wskazał obwieszczenie podpisane przez pełnomocnika Rzeszy.

- Czytaliśmy - powiedział pan Całusek.

- I przemyśleliście to?...

- Przemyśleliśmy i zdecydowaliśmy - zaśmiał się dyżurny ruchu, pan Całusek.

- Chłopcy, ależ to można zakwalifikować jako sabotaż! - Zawiadowca pokiwał palcem i wyszedł na peron.

W parowozie wojskowego transportu pod specjalnym nadzorem znajdował się błąd inżynier Honzik, kierownik Betriebsamtu, który sam udał się po ten transport aż do Libochu, a teraz stał tam jako zakładnik, z oczyma w słup i ze złożonymi

blągalnie rękoma; stał tuż przy okienku lokomotywy i dawał do zrozumienia dworcowym drzwiom i oknom, jak to on przez naszą stację cierpi.

Pan zawiadowca zasalutował, a więc i ja podszedłem do toru i także zasalutowałem. Parowóz zatrzymał się i zeszli z niego dwaj esesmani, każdy z parabelką w ręku, i przez chwilę patrzyli na moją czerwoną czapkę. Stuknąłem obcasami i zasalutowałem, ale oni - jeden z jednej, drugi z drugiej strony - przyłożyli mi lufy tej swojej automatycznej broni do żeber i musiałem wspiąć się po stopniach do środka lokomotywy. Pociąg ruszył. Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie, obaj esesmani byli piękni, wyglądali tak, jakby raczej pisali wiersze albo szli na partię tenisa, ale znajdowali się ze mną w lokomotywie, obok inżyniera Honzika stał dowódca tego transportu, kapitan w austriackiej czapce alpejskiej, twarz przecinała mu zagojona blizna, która przeskakiwała usta i poprzez brodę ciągnęła się niżej. Maszynista również miał na sobie mundur, trzymał się dźwigni zmiany szybkości i siedział w miękkim fotelu. Była to niemiecka maszyna na węgiel kamienny, obok siedzenia maszynisty znajdowała się dźwignienka, tak jak przy fotelach dla chorych, które można przemienić z siedzeń w leżanki.

Ci dwaj esesmani ciągle jeszcze wbijali mi lufy parabelek w szczyty płuc, a oczy ich - zupełnie tak samo jak te lufy - spoglądały bez ruchu na kapitana, który jednak patrzył na przesuwany się krajobraz. Widziałem, jak na folwarku ktoś ciekawski otworzył klapę i wyłazi na cynowy dach, i teraz podnosił ręce, jakby się poddawał. Zapewne z transportu krzyknięto na niego, na pewno wymierzono weń jakiś karabin, ten na dachu jednak stale miał uniesione ręce, jakby przepijał do słońca, był to gminny półgłówek Jordan, co to pasał krowy, a letnie przedpołudnia niedzielne spędzał w ten sposób, że wkładał do siatki na ryby butelkę piwa i pływał łódką, wyciągając co chwila tę siatkę i nalewając sobie świeżego piwa, po czym stał na łódce, tak samo jak teraz na dachu, stał w kąpielówkach na łódce i z wyciągniętą ręką przepijał do słońca, wołał słońce, wydawał okrzyki: „Eh, eh, eh!”, a potem wypijał piwo do dna. Widziałem też za kuchennym oknem panią zawiadowczynię, twarz jej przedzielał mosiężny pręt, na którym zawieszono małe firaneczki, podniosła ręce, ale właśnie parowóz transportu pod specjalnym nadzorem przejeżdżał obok tego roztrzaskanego pociągu na torze piątym, odwróciłem wzrok, aby zobaczyć, co na to ci dwaj, oni jednak patrzyli na mnie tak, jakbym to ja zniszczył ten pociąg.

- *Du Arschlecker* - wycedził esesman.

- *Solche Schweine ist besser sofort schiessen* - powiedział drugi.

- *Dreissig Minuten Verspaetung* - syknął pierwszy i mocniej wcisnął mi między żebra łufę parabellum.

Jakże inaczej to było wówczas, kiedy - przed trzema miesiącami - wyjeżdżałem po swoją śmierć. Pochyliłem się do okienka kasy, był wieczór, kasjerka miała rude włosy. Powiedziałem:

- Poproszę bilet!

Poznała mnie i spytała:

- Dokąd, panie dyżurny ruchu?

- Pojadę tam, gdzie najpierw zatrzymają się pani oczy - ja na to.

Zaśmiała się.

- Jak to: najpierw? Ciągle przecież patrzę na bilety.

- Wie pani co? - mówię. - Zrobimy tak. Proszę patrzeć na mnie i lewą ręką wyciągnąć jeden bilet.

Ona jednak chichotała:

- Ależ, panie dyżurny ruchu, ja mogę sprzedawać nawet po ciemku.

A więc powiedziałem:

- Siódmy rząd, siódma kolumna, siódemka jak u Żydów.

Sięgnęła tam i wciąż patrząc na mnie, nie spuszczać ze mnie oczu, oświadczyła:

- Do Bystrzycy koło Beneszowa, dwadzieścia osiem koron...

Maszyna zadrzała, w dali polsniewała płaszczyzna śniegu, który topniał i nieustannie tykał kolorowymi kryształkami. W rowie leżały trzy martwe konie, które Niemcy wyrzucili z wagonu. Po prostu otworzyli drzwi i wyrzucili padlinę. Teraz leżały w rowie przy torach, z nogami wzniesionymi w górę, jak kolumny, na których wspiera się niewidzialny portal nieba. Inżynier Honzik patrzył na mnie oczyma pełnymi smutku i złości, że na jego odcinku ten transport pod specjalnym nadzorem spóźnił się o pół godziny. Z pewnością była w tym moja wina, dlatego też słusznie wzięli mnie ci esesmani do lokomotywy i ciągle się dopominają, aby im wolno było przenieść te lufy na tył głowy i na dany znak nacisnąć spusty, nafaszerować mnie kulkami i otworzyć drzwiczki... Czuję to doskonale, ale mimo wszystko myślałem, że to tylko tak, że nie są do tego zdolni, bo obaj byli tacy przystojni, zawsze bałem się pięknych ludzi, nigdy nie umiałem normalnie rozmawiać z pięknymi ludźmi. Pociłem się,

jąkałem, tak bardzo podziwiałem piękne twarze, tak byłem olśniony, że nigdy nie mogłem spojrzeć w jakąś piękną twarz.

Za to kapitan był brzydki, z tą długą blizną, która przecinała mu policzek, jakby w dzieciństwie upadł twarzą na rozbity garnek; ten kapitan spojrzał teraz na mnie.

Uniosłem rękę i chwyciłem się takiego uszka wiszącego pod dachem lokomotywy.

Pozwoliłem sobie na to dlatego, że ten kapitan popatrzył na mnie i zobaczył, że jestem zwyczajnym durniem, który stoi przy torach, durniem, któremu w dyrekcji w Gródku Królowej powiedzieli, żeby przy tych torach stał i opuszczał bądź podnosił ramiona semafora, podczas gdy armia niemiecka będzie przejeżdżała przez jego stację najpierw na wschód, a teraz z powrotem. Mówiłem sobie: „Niemcy to i tak wariaci. Niebezpieczni wariaci. Ja też byłem taki trochę wariat, ale na swój własny rachunek, podczas gdy Niemcy zawsze na rachunek innych. Stali pewnego razu na piątym torze, cały pociąg żołnierzy, którzy chodzili do sklepiku we wsi kupować sobie jedzenie i cukierki, i kostki sztucznego miodu... aż tu kiedyś pewien żołnierz wyciągnął po kryjomu tę kostkę, na której opierały się pozostałe, i sztuczny miód się zwałił... kupiec policzył i stwierdził, że brakuje pięciu kostek sztucznego miodu, dowódca więc kazał całemu pociągowi zająć miejsca i aż do wieczora dokonywał rewizji wszystkich wagonów szukając tego sztucznego miodu, i dopiero gdy go nie znalazł, osobiście udał się do kupca, zasalutował i uroczyście się usprawiedliwił... Być może, byli to ci sami Niemcy, którzy teraz stali ze mną w lokomotywie, być może, byli to właśnie oni.

Palacz mrugnął do mnie wesoło, po czym rytmicznymi ruchami zaczął łopata podrzucać węgiel; najpierw ciskał w głąb, na tył rusztu, później na środek, aby ostatnią łopata rozprowadzić węgiel na samym skraju paleniska.

Oczy kapitana spoglądały na mój przegub, tam gdzie i ja miałem bliznę, rękaw mi się osunął i kapitan patrzył na tę zagojoną ranę, jakbym był jakąś książką. Ten kapitan wiedział już zapewne więcej, na wszystko patrzył już z drugiej strony, oczy jego przypominały dwa kawałki ałunu. Wszyscy wpatrywali się w mój przegub, kapitan wyciągnął pejcz i podwinąwszy mi drugi rękaw zatrzymał wzrok na drugiej bliźnie.

- Kamarad - powiedział.

Dał znak i wojskowy transport pod specjalnym nadzorem zaczął zwalniać, dwie parabelki odsunęły się od moich pleców, ja jednak nie spojrzałem już nawet na tych

dwóch pięknych żołnierzy, wpatrywałem się w podłogę, w żłobkowane blachy żelazne, które drżały nieustannie, gdy parowóz toczył się po szynach.

- *Geb* - powiedział kapitan.

- Dziękuję - wyszeptałem.

I wciąż jeszcze nie wiedziałem, czy to nie zabawa, otwarłem drzwiczki, zszedłem na pierwszy stopień, później z każdym krokiem coraz niżej, wyciągnąłem nogę i dotknąłem ścieżki, jakbym tańczył kozaka, jeszcze skok, i stałem na ziemi, a lokomotywa ruszyła znowu i obok mnie przejeżdżały wagony z „tygrysami”, niektórzy żołnierze mieli otwarte kilowe puszkę konserw i podwinięte rękawy i wbijali na noże kawałki mięsa, i jedli, inni zaś trzymali na kolanach broń automatyczną, kołysali wysokimi butami, jakby moczyli sobie nogi w strumyku; kiedy mnie tak wagon za wagonem mijał, czułem nieustannie, że moje plecy wciąż jeszcze są znakomitą tarczą.

Jako ostatni wagon tego transportu jechał wagon bydłocy, z otwartymi drzwiami, w których kołysały się czarne damskie pończochy, z pewnością siostrzyczki ze szpitala polowego, ja jednak znajdowałem się ciągle w zasięgu niemieckich parabelek, rewolwerów i automatów, bo jeśli idzie o Niemców, sam tego teraz doświadczyłem na własnej skórze, nikt nigdy nie wiedział, do czego są zdolni; panią Karaskową, która mieszka tuż obok nas, Niemcy zamknęli od razu, jeszcze w 1940 roku, a wróciła w zeszyłym - na Boże Narodzenie; przez cały ten czas, przez cztery lata, była w Peczkamie i tam wycierała krew po egzekucjach, cztery lata wycierała krew i sam mistrz kat był dla niej miły i dobry, dawał jej szynkę, prosił ją, by mu śpiewała: „Czarne oczka, czemuście we łzach”, i mówił do niej: „Pani będzie łaskawa” i „Proszę bardzo”. A potem nagle, ni stąd, ni zowąd, puścili ją do domu, na zawsze, i jeszcze napisali list z przeprosinami, ale pani Karaskowa nic z tego nie rozumiała, pomieszało się jej w głowie; w urzędzie zatrudnienia dano jej pracę w parowozowni, wciśnięto w rękę bańkę z oliwą i musiała smarować i wycierać łożyska maszyn.

Zbliżałem się do miejsca, gdzie tor zakręcał, już z daleka sterczało w niebo tych dwanaście kopyt martwych koni niczym kolumny w starobolesławskiej krypcie. Myślałem o Maszy, o tym, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy, kiedy pracowałem jeszcze u naczelnika odcinka, który dał nam po wiaderku czerwonej farby, polecając, abyśmy pomalowali płot wokół całych warsztatów państwowych. Masza zaczynała pracę na kolei podobnie jak ja, staliśmy naprzeciwko siebie, między nami wznosiło się wysokie ogrodzenie z drutu, u nóg każde z nas miało swój kubełek z minią, swój pędzel, i dreptaliśmy naprzeciwko siebie, malując płot, każde po swojej stronie, ciągle

tak twarzą w twarz, płot ten ciągnął się ze cztery kilometry, przez pięć miesięcy codziennie staliśmy tak naprzeciwko siebie i wszystko sobie z Maszą powiedzieliśmy, ale wciąż znajdował się między nami ten płot; pewnego razu, kiedy miałem już za sobą co najmniej dwa kilometry tego ogrodzenia, pociągnąłem czerwoną farbą drut na wysokości ust Maszy i powiedziałem jej, że ją kocham, a ona z drugiej strony także pomalowała ten sam drut i powiedziała, że ona również mnie kocha... i popatrzyła mi w oczy, a że działo się to w rowie, w wysokiej lebidzie, nastawiłem usta i pocałowaliśmy się poprzez ten pomalowany drut, a kiedyśmy otworzyli oczy, ona miała na ustach taką czerwoną cipeczkę, ja także, roześmieliśmy się i od tej pory byliśmy szczęśliwi.

Kiedy doszedłem do tych trzech padłych koni, usiadłem na brzuchu jednego z nich i oparłem głowę o jego nogę. Głowa drugiego konia patrzyła na mnie szeroko otwartym okiem, jakby ten martwy koń przeżył wraz ze mną to, co mogło mi się przed chwilą przydarzyć.

Wchodziłem po schodach hoteliku w Bystrzycy koło Beneszowa, na korytarzu pracował murarz w białym ubraniu, kuł otwory w ścianie, aby zagipsować w nich dwa haki, na których za chwilę miała zawisnąć gaśnica przeciwpożarowa marki „Minimax”; murarz ten był już stary, ale miał tak szerokie ramiona, że musiał stanąć bokiem, abym mógł się precyzyjnie; później murarz pogwizdywał sobie walczyka z Hrabiego Luksemburga, a ja wszedłem do pokoju, było popołudnie, w łazience wyjąłem dwie brzytwy: jedno ostrze umocowałem w szparze stojącego koło wanny taboretu, drugie położyłem obok i zacząłem gwizdać walczyka z Hrabiego Luksemburga, zrzuciłem z siebie wszystko, odkręciłem kurek z gorącą wodą, a potem zamyśliłem się i po cichu uchyliłem drzwi. Murarz stał z drugiej strony drzwi na korytarzu, jakby to i on uchylił drzwi i chciał popatrzeć na mnie, tak jak ja chciałem popatrzeć na niego. Zatrzasnąłem drzwi, wśliznąłem się do wanny, musiałem zanurzać się powoli, bo woda była bardzo gorąca, syknąłem nawet poparzony, siadałem ostrożnie i nie bez bólu. A potem nastawiłem przegub i prawą ręką przeciąłem sobie przegub ręki lewej... następnie zaś z całej siły uderzyłem przegubem prawej ręki w ostrze drugiej brzytwy wciśniętej między deski stołka. I włożyłem obie ręce do gorącej wody, i patrzyłem, jak z wolna wycieka ze mnie krew, jak woda staje się różowa, a mimo to ta czerwona krew płynie nieustannie, wyraźnie widoczna - jakby mi ktoś z przegubu dłoni wyciągał długi falujący bandaż, tańczący opatrunek... a potem zacząłem gęstnieć w wannie tak, jak gęstniała ta farba, którą malowaliśmy

ogrodzenie wokół całych warsztatów państwowych, że aż musieliśmy dolewać do niej terpentyny... i głowa mi opadła na piersi, i do ust ciekła mi malinowa lemoniada, która jednak miała odrobinę słony smak... a potem te koncentryczne błękitne i fioletowe kręgi, które sprężynowały jak poruszające się kolorowe spirale... a potem pochylił się nade mną cień i o mój policzek otarła się broda porośnięta twardym ścierniskiem. Był to ten murarz w białym ubraniu. Ujął mnie i wyłowił z wody niczym czerwoną rybę, której z przegubów wyrastają purpurowe płetwy. Położyłem głowę na jego bluzie i słyszałem, jak moja mokra twarz gasi wapno, i ten zapach był ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem.

Siedziałem na martwym koniu z głową opartą o wzniesioną nogę, sterczącą na tle nieba, dotykałem takiej grzywki, jaką konie mają na pęcinach... obok przejeżdżał pociąg towarowy i wesoło pogwizdywał. Wagony przysłaniały mnie, to znów z rytmicznym stukotem odsłaniały, zacząłem drżeć, ślina wystąpiła mi na usta, bo wszystko zaczęło się u wujka Nonemanna w Karlinie; spałem u wujka Maszy, położono mnie w atelier na kanapie i przykryto kocem, na który z kolei położono tę płachtę, na której namalowana była Praga, a nad nią samolot, w którym klienci kazali się fotografować jako piloci lub nawigatorzy, na zdjęciu mieściły się w tym samolocie całe zabawne grupki... a potem, kiedy u Nonemannów zapadła cisza, przyszła Masza, wśliznęła się pod tę płachtę z samolotem i głaskała mnie, przycisnęła się do mnie całym ciałem, i ja ją gładziłem, i byłem mężczyzną aż do tej chwili, kiedy miało to nastąpić, nagle jednak zwiądnęłam i było po wszystkim. Masza usiłowała mnie szczypać, ale ja odrętwiałem, jakbym stracił władzę we wszystkich członkach, po godzinie Masza wyśliznęła się spod płachty i wróciła do pokoiku, do ciotki... Rano nie odważyłem się na nią spojrzeć, siedziałem jak struty, przychodzili klienci, stawali za tą płachtą, pod którą tej nocy tak okrutnie zostałem doświadczony, wchodzili - jeden na krzesło, drugi na drabinkę - a wujek Nonemann wkładał każdemu do ręki albo butelkę, albo lejek, potem włożył pod spódnicę temu aparatowi, podnosił rękę i dawał znak jak orkiestrze, po czym znów gramolił się spod tej spódnicy i po pięciu minutach przynosił fotografię, nad wejściem bowiem znajdował się wielki napis: W PIĘĆ MINUT GOTOWE!

Przychodzili tak całe przedpołudnie, w końcu zjawili się dwaj żołnierze niemieccy, a kiedy jeden z nich wszedł na krzesło, drugi zaś na drabinkę, a pan Nonemann postawił przed nimi ten parawan z samolotem, rozległ się grzmiący łoskot, po czym przez atelier przeleciał podmuch wiatru i powalił płachtę z samolotem, tak że

ci dwaj żołnierze runęli, i wujek, który włożył pod spódnicę, upadł również, i jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, po chwili nadszedł potężny powiew i widziałem, jak ściana atelier zwała się i poryw uniósł wuja i tych dwóch żołnierzy, a z pokoju przyniósł ciotkę i Maszę, które leciały w powietrzu i chciały sobie przy tym poobciągać spódniczki, ale się im to nie udawało, włosy obracały się im i powiewały, i przysłaniały całe niebo, i wszyscy upadliśmy, a potem jeszcze jak piłki odbijaliśmy się miękko na łączce... a na koniec podmuch przyniósł tablicę, na której znajdował się napis:

W PIĘĆ MINUT GOTOWE!

Po głównej ulicy przebiegło kilkoro ludzi, po czym przez dłuższy czas trwała cisza, następnie zaś zaczęły wyc syreny i przemknęło parę samochodów sanitarnych, i przeszło jeszcze kilka obdartych osób, które śmiały się jak szalone, wciąż śmiały się i padały na wznak na łączkę, leżały na wznak i wstrząsał nimi śmiech... Dopiero potem zjawił się jakiś człowiek, odwrócił się i wskazując w kierunku na Wysoczany powiedział: Ludzie, co za cholerny nalot! - A kiedy spojrział na łączkę, na tę wielką tablicę, powtórzył w innym sensie to, co tam było napisane: - W pięć minut gotowe!...

Przeszedłem pod szlabanem, na piątym torze stały wagony osobowe. Cały pociąg był zniszczony, na pierwszym wagonie przeczytałem napis:

„Cel - warsztaty państwowe, stacja wysyłkowa - Kraków. ”

W ten sposób partyzanci urządzali zawsze niemieckie transporty tuż za frontem, ani jeden pociąg osobowy nie miał szyb w oknach, każdy był naszpikowany kulami, blaszane ściany pokryte rękopisem karabinów maszynowych, niektóre rozdarte granatem, inne pociskiem moździerza albo zdobyczą „pięścią pancerną”.

Były to takie wagony osobowe, jakie już dawno wycofano z ruchu, do każdego przedziału prowadziły z obu stron drzwiczki, a wzdłuż całego wagonu ciągnął się długi stopień. Niemal przy każdych drzwiach znajdował się brunatny ślad zakrzepłej krwi. Zaglądałem do przedziałów, wszędzie było jednakowo: na podłodze rozbite szkło, grzebyki, guziki wyrwane wraz z materiałem, cały rękaw od bluzy wojskowej, zakrwawione kalesony, chusteczka nasiąkła kiedyś krwią, porozrzucone figurki szachowe, plansza do gry w „chińczyka”, okrągłe lusterko, harmonijka ustna, przysypane śniegiem listy, długi bandaż i kolorowy balonik dziecięcy.

Podniosłem jeden z listów, z odcisniętym śladem buta wojskowego z gwoździem na podeszwie.

List zaczynał się od słów: „*Mein lieber Schnucki Pucki...*” i kończył się – „*Deine Luise*”. Obok odcisnięte dziewczęce usta. Z kąta śmiał się do mnie rozsznurowany but z wyciągniętym językiem. Na podłodze leżały dwie nieżywe wrony.

Kiedy wróciłem ze szpitala, panowały takie mrozy, że w lasku za naszym miasteczkiem, dokąd zlatywały się stada wron i kruków, drzewa obwieszane były tymi czarnymi ptakami, błyszcząły w popołudniowym mroźnym słońcu, a kiedy zbliżyłem się do zagajnika, zobaczyłem tysiące tych kruków na ziemi, wokół każdego drzewa jak przejrzale śliwki-węgierki, zagajnik pełen martwych ptaków - i te, co siedziały na gałęziach, były martwe, nawet one nie żyły, zamarły we śnie. Kopnąłem kilkakrotnie butem w pień drzewa. Z konarów i gałęzi posypał się szron i martwe ptaki, kilka z nich otarło się o moje ramię: były tak lekkie, iż wydawało się, że spadł na mnie beret.

Zeskoczyłem ze stopnia ostatniego wagonu tego pociągu na piątym torze i zajrzałem do kancelarii. Dyżurny ruchu, pan Całusek, siedział z nogami na stole telegraficznym, z dłońmi wsuniętymi pod pachę i z brodą opadłą na piersi. Spał. I ja to potrafiłem, i ja usypiałem na służbie, kiedy mnie to nachodziło.

Nagle ogarnia człowieka takie nieprzeparłe pragnienie zdrzemnięcia się, że najlepiej ulec mu od razu i przy pierwszej okazji usnąć. Ale taki sen dyżurnych ruchu na służbie kierowany jest jakimś specjalnym systemem alarmowym. Ciało pogrążone jest w głębokim śnie, ale w głowie dyżurnego ruchu coś czuwa. Wystarczy, by odezwał się telegraf, a dobry dyżurny ruchu podnosi się natychmiast, naciska dźwignię aparatu, nadaje sygnał swojej stacji, po czym znowu siada i twardo usypia, kiedy jednak wiadomość na białym pasku się kończy, dyżurny ruchu natychmiast się budzi, daje znak, że zrozumiał, dołącza kodem telegraficznym sygnał swojej stacji i zatrzymuje aparat, siada znowu i nadal śpi sobie spokojnie. Taki dobry dyżurny ruchu stawia dyszkę wjazdową i usypia, słyszy zbliżające się kroki, słyszy, że lokomotywa przejeżdżającego pociągu denerwuje się, bo wjechała na ślepy tor, a w bloku kancelarii dyżurnego ruchu rozlega się zaledwie taki dźwięk, jakbyś upuścił łyżeczkę do kawy, to wystarczy, by dyżurny ruchu ocknął się i poszedł poprawić sygnał.

Na schodach rozległy się kroki: schodził pan zawiadowca, dyżurny ruchu postawił nogi na ziemi i wstał. Wszedł pan zawiadowca w starym mundurze, na pewno zamierzał oczyścić gołębnik, spodnie miał całe białe od gołębiego łajna, rękawy także.

I ja wszedłem do kancelarii.

- Dyżurny ruchu Milosz Pipka melduje się znów na służbie - powiedziałem.

Natychmiast zaczęli mi potrząsać rękę i klepać po ramionach, pan zawiadowca miał łzy w oczach.

- Miloszu, ile razy panu mówiłem, aby pan uważał?

Raz jeszcze powtarzam - mówił i odwróciwszy się wskazał palcem podpis na obwieszczeniu. - Sam pełnomocnik Rzeszy, ten Danko, oświadczył w Gródku, że ani przez chwilę nie będzie się wahać! Że każe rozstrzelać kilku czeskich dyżurnych ruchu! - Kiwał głową, jeden gołębek, który spacerował po peronie, zaczął gruchać i do drzwi biura zleciało się całe stado rysiów polskich.

Na stację wjeżdżał pociąg towarowy. Pan zawiadowca wyszedł na peron, gołębie zerwały się, siadały panu zawiadowcy na ramionach, na głowie, musiał rozłożyć ręce i rysie polskie siadały na nim niczym na jakimś pomniku na placu. I zawiadowca cieszył się, że kierownik pociągu i drużyna konduktorska patrzą na niego, maszynista przestał sobie wycierać ręce szmatą i również patrzył na pana zawiadowcę, a pan zawiadowca szedł, niosąc na sobie to stado, które wciąż poruszało skrzydłami, aby się na nim utrzymać.

- Dali nam kiepski węgiel - powiedział maszynista.

- Już drugi raz musimy robić parę.

- No i jak tam, panie maszynisto, wciąż pan jeszcze maluje? - spytał dyżurny ruchu.

- Ciągłe - przytaknął maszynista. - Teraz maluję morze. A ten wasz zawiadowca to mógłby z tymi gołębiami występować w cyrku. Jak Boga kocham!

- Teatr kukiełek! - powiedział dyżurny ruchu. - A więc morze zaczął pan malować?... No, no...

Stałem na peronie i patrzyłem na kierownika pociągu, drużynę konduktorską oraz palacza, i od razu wiedziałem, że zatrzymali się tu jedynie po to, aby zobaczyć dyżurnego ruchu, pana Całuska: czy widać po nim to, co się o nim opowiada, że podczas nocnego dyżuru podniósł telegrafistce spódnicę i odbił jej na pupci wszystkie pieczęcie, jakie tylko były na stacji.

- Morze - mówił maszynista i nadal pełnymi podziwu oczyma patrzył na pana dyżurnego ruchu. - Powiększam morze z widokówki.

- A gdyby pan tak spróbował z natury? - spytał dyżurny ruchu.

- Proszę mi dać spokój z naturą... W naturze wszystko za bardzo się rusza - wykrzyknął maszynista i roześmiał się; zwrócił się w stronę wagonu pocztowego i mrugnął; roześmieli się wszyscy. - Z natury musiałbym wszystko malować mniejsze. Tylko raz dałem się nabrać na tę naturę, pożyczyłem ze szkoły wypchanego lisa i zagrzebałem go w lesie w listowiu, ale nim zdążyłem zabrać się do malowania, przybiegły dwa psy i lisa rozszarpały. Trzysta koron! Niechże mi pan da spokój z naturą!

Pan dyżurny ruchu patrzył w błękitne niebo; teraz i ja widziałem na tym niebie to co on: cały firmament zakrywała leżąca postać naszej telegrafistki, Zdeniczki, której pan dyżurny ruchu delikatnie unosi spódniczkę, po czym bierze jedną pieczętkę po drugiej i energicznymi ruchami odbija te pieczętki na dupę telegrafistki... i widziałem, jak drużyna konduktorska wraz z kierownikiem pociągu i obsługą lokomotywy, jak wszyscy wpatrują się w niebo i wszyscy widzą tam to samo: owo przepiękne zdarzenie, dla którego zatrzymali się tutaj pod pretekstem, że muszą robić parę.

A kiedy napatrzili się już na niebo, zaczęli spoglądać ze zdumieniem na dyżurnego ruchu, pana Całuska, który stał się naraz piękny. Do twarzy mu było z tymi

zmarszczkami wokół ust i z tymi odrobinę krzywymi nogami. Zrozumiałem, że pan dyżurny ruchu posiada dla kobiet nieodparty czar.

- Wie pan, w jaki sposób maluję to morze z widokówki? - spytał maszynista. - Ten dekiel, na którym maluję, wkładam w imadło, przypinam do deski kreślarskiej widokówkę i maluję. Ale mam jakoś dziwną rękę, wciąż jeszcze nie mogę oddać tych prawdziwych fal, tego rozmachu morza, co jest na widokówce.

- Wie pan co, panie Książę? - powiedział dyżurny ruchu, pan Całusek. - Niech pan tę widokówkę także umieści w imadle. Tuż obok dekla... A potem niech pan weźmie pędzel i niech pan nad tymi falami robi o tak, o tak niech pan robi pędzelkiem nad falami, tak długo, aż wejdzie to panu w rękę, a potem niech pan robi te fale coraz większe i większe, a kiedy będą takie, jakich panu potrzeba, niech pan od razu maluje...

- O rany, człowieku, ależ pan ma pomysły? - Maszynista nie wychodził ze zdumienia.

Wbiegłem do kancelarii dyżurnego ruchu, dzwonił telefon, słyszałem głos pana zawiadowcy: udawał, że wymyśla rysiom polskim, wszystkie gołębie znajdowały się teraz wraz z nim w gołębniku... Przyszło mi nagle do głowy, że dobrze by było ukryć się w gołębniku i przez jakąś szparkę podglądać, co też pan zawiadowca z gołębiami wyprawia? Miałem wrażenie, że te gołębie śmieją się nawet, że pan zawiadowca im wymyśla, że jest nawet gotów wziąć niesforne gołąbka na kolano i sprać mu tyłek...

Trzymałem przy uchu bakelitową słuchawkę i patrzyłem na peron, gdzie stali w słońcu mężczyźni, maszynista pochylił się właśnie i szeptał coś do ucha panu dyżurnemu ruchu, ale kiedy spojrzałem również w bok, na wagony służące do transportu węgla, przestraszyłem się. Z wagonu sterczały bydlęce rogi i wychylało się kilka łbów, zwracając na peron oczy były to wielkie krowie oczy, pełne ciekawości i smutku. Niemal każdy wagon miał podłogę przedziurawioną kopytami i z otworów tych sterczały krowie nogi, odarte ze skóry, nieruchome, zsiniałe... Nie lubiłem tego, nie znosiłem po prostu, kiedy wieźli wygłodniałe cielęta i pociąg stał na mojej stacji, przez uchylone drzwi wagonu podawałem im przynajmniej palce, aby choć na chwilę zastąpiły im wymiona, nie, tego bardzo nie lubiłem... ani tych wózków z koźletami, kiedy zwozili je rzeźnicy, z nóżkami tak mocno spętanymi powrozem, że martwiały, nie znosiłem tego, och, jak bardzo nie znosiłem, ani kiedy podczas mrozów przewożono do praskich jatek prosięta w otwartych piętrowych wagonach, prosięta przytulone do siebie główkami, prosięta, które bały się poruszyć, aby wraz z tym

jednym jedynym ruchem nie utracić ostatniej odrobiny ciepła, prosiątka o zziębniętych nóżkach, o porcelanowych kopytkach! Ach, tego naprawdę nigdy nie lubiłem! Ani kiedy wieziono je w parne dni lata bez kropli wody aż gdzieś z Węgier, cały pociąg prosił o otwartych ryjkach, tak otwartych z pragnienia jak dziobek umierającego z pragnienia ptaka...

Wybiegłem z kancelarii dyżurnego ruchu.

- Skąd ten ładunek? - spytałem kierownika pociągu.

- Z frontu, bydło jest już w drodze dziesiąty dzień... - Machnął ręką.

Wskoczyłem na platformę wagonu i spojrzałem w dół.

Cała ta trzoda chora była na nosaciznę, kilka sztuk padło, jednej z krów wisiało pod ogonem martwe rozkładające się ciele... wszędzie tylko straszne pary oczu pełne cichego wyrzutu, znużonych oczu, nad którymi załamałem ręce. Cały pociąg zwierzęcych oczu pełnych wyrzutu.

- Ci Niemcy to świnię! - krzyknąłem.

Kierownik pociągu machnął ręką i zawołał:

- Świnię to jeszcze za mało. Tam na końcu trzy ostatnie wagony pełne są niemal padłych już owiec... Jedne drugim wyskubały z głodu wełnę.

- Mamy już parę - powiedział maszynista i dodał cicho:

- Słyszeliście? Wczorajszej nocy partyzanci wysadzili w powietrze transport pod specjalnym nadzorem niedaleko Jihlawy. Zrobili to tak zręcznie, że runął cały do przepaści, a drugi ładunek zwałił jeszcze na pociąg przęsła mostu.

Wspiął się na maszynę i pociągnął za rękojeść, pociąg towarowy ruszył, ciągnąc wagony, z których sterczały krowie nogi i oczy, wagony, z których u dołu wystawały pogruchothane nogi, odarte i zakopcone od podkładów. A za spichlerzem, za liwierpulem, stały u rampy dwa podstawione wagony, które rano przyciągnął pociąg zbiorowy, zwany u nas „rakietą”, wagony przeznaczone dla praskich jatek.

Następnie przyjechały dwa transporty wojskowe pod specjalnym nadzorem: same czołgi, same „tygrysy”, każdy pociąg z dowódcą w parowozie, z pewnością w następstwie udanej akcji partyzantów pod Jihlawą.

Od wsi poganiacze prowadzili bydło, opierającym się krasulom łamali ogony. Jedna spośród krów położyła się z rozpaczy na drodze; wyrostki wetknęły jej pod ogon wiecheć słomy i podpaliły. Potem z folwarku wyjechał wóz; konie z wysiłkiem napinały postronki, ponieważ z tyłu przywiązano byka: miał pokaleczone kolana i

rozdarł nozdrza, bo wyrwał sobie kółko z nosa. Teraz uwiązano go za rogi do wozu, który go ciągnął. Zbyt późno chyba zrozumiał, że dziewczyna wyprowadziła go i zdradziecko wydała w ręce rzeźników, poszedł po prostu za zapachem jej spódnicy, do którego przywykł i za którym poszedłby na koniec świata. A teraz wóz ciągnął go niczym pług po topniejącym śniegu i krwawe kolana zostawiały po sobie dwie czerwone linie.

- Miloszu - powiedział dyżurny ruchu, pan Całusek, odwrócił mnie i ujął pod brodę - tego tam, na tej esesmańskiej lokomotywie, tego ci nigdy nie zapomnę. Zrobiłeś to za mnie.

Zadzwoił telefon z bloku.

- Niemcy to świnie - powiedziałem.

Podniosłem słuchawkę i przestraszyłem się.

- Panie dyżurny ruchu, opadło nam ramię semafora!

- Dla jakiego pociągu ustawiliśmy je w pozycji „otwarte”?

- Dla „rakiety”.

- Głupia sprawa.

- Panie dyżurny ruchu - mówię - skoczę tam na rowerze i po prostu przytrzymam to ramię w pozycji „otwarte”...

Wybiegłem i po chwili jechałem już ścieżką koło liwerpulu do masztu semafora, po klamrach wspiąłem się na górę, okrakiem usiadłem na lampie i podniosłem ramię semafora, a już zbliżała się lokomotywa „rakiety”, która wiozła na front żywność i napoje dla oficerów oraz pocztę; „rakiety”, która przejeżdżała przez stację nie zatrzymując się i przed którą ma pierwszeństwo jedynie transport wojskowy pod specjalnym nadzorem; maszynista nacisnął hamulec, gdy ujrzał mnie na semaforze, ale ja wyciągnąłem latarkę służbową i zielonym światłem zacząłem mu dawać znaki, że droga wolna, maszynista więc znowu zwiększył szybkość, i „rakieta” wraz z szeregiem wagonów towarowych przeleciała obok mnie; przysłoniły mnie kłęby dymu, dopiero po chwili zobaczyłem pana dyżurnego ruchu - stał i patrzył na migające osie, parowóz wzbijał chmury śniegu i porywał je za sobą, za ostatnim wagonem kłębiła się śnieżna zamieć, przystrojona papierkami i gałązkami...

A potem nadeszła przerwa południowa, podgrzałem sobie na piecyku zupę w niebieskiej bańce, postawiłem dyszkę wjazdową dla drezyny silnikowej, dyżurny ruchu, pan Całusek, położył nogi na stole telegrafu i patrzył przez okno na błękitne niebo.

- Nie mówili, kto jedzie tą drezyną? - spytał.

- Powiedzieli, że naczelnik odcinka - odparłem, mieszając łyżką w niebieskiej bańce.

Nagle drzwi otwały się cichutko i ktoś wszedł do kancelarii, zobaczyłem szare spodnie, wyczyszczone do połysku buty i jesionkę.

- Świetnie się tu bawicie - zauważył przybysz.

- Nieprawdaż? - rzuciłem i nadal siorbałem zupę, a dyżurny ruchu, pan Całusek, dalej trzymał nogi na stole telegrafu, nie przestając się wpatrywać w błękit nieba.

- Wiecie, kim jestem? - spytał przybysz.

- Wiem - mówię. - Przyszedł pan po fakturę, jest pan od tego bydła...

- Być może - powiedział przybysz. - A gdzież to macie pana zawiadowcę?

- W gołębniku - odparłem.

Przybysz zaczął straszliwie krzyczeć.

- On jest tutaj, ale wiecie, kto ja jestem? - spytał raz jeszcze i sam sobie odpowiedział: - Jestem Grzeczny, dyrektor ruchu.

Widziałem już i słyszałem zawiadowców i dyżurnych ruchu, którzy opowiadając o dyrektorze Grzecznym - chociaż tylko o nim mówili - zaczynali drzeć już od samego tego mówienia. Zerwałem się i, z bańką i łyżką w jednej ręce, drugą zasalutowałem i zameldowałem:

- Praktykant Miłosz Pipka melduje się na służbie!

- Proszę odstawić tę bańkę! - ryknął dyrektor ruchu i uderzył w niebieską bańkę, która upadła na podłogę; dyrektor ruchu kopnął ją, tak że z brzękiem potoczyła się gdzieś pod szafkę. Stałem i salutowałem, pan Całusek natomiast wciąż jeszcze siedział na krześle z nogami na stole telegrafu, jakby przerażenie, wywołane widokiem dyrektora ruchu, sparaliżowało go bez reszty. Za oknami mignęła postać pana zawiadowcy, wszedł do kancelarii tak jak stał, jak zbiegł z gołębnika, bez czapki, teraz zasalutował i zameldował stację.

- Spocznij - powiedział dyrektor ruchu cichutko, po czym zaczął z uwagą przypatrywać się służbowej bluzie pana zawiadowcy, pełnej śladów ptasiego łajna, z rozkoszą zatrzymał wzrok na jedynym guziku, obszedł pana zawiadowcę dokoła i przyglądał się jego zanieczyszczonym spodniom.

- Myślałem... - zaczął zawiadowca.

- On myśli?... - spytał mnie pan dyrektor ruchu cichutko.

- Tak - powiedziałem.

- Tak? - zdziwił się dyrektor ruchu. - A wie pan, że zaproponowałem, aby tego oto starszego adiunkta awansowano na inspektora ruchu?

Wzruszyłem ramionami.

- Proszę posłuchać, chciałby pan zostać inspektorem ruchu? - zapytał zawiadowcę, nad którym unosiło się piórko.

- Chciałbym! - westchnął pan zawiadowca, a piórko unosiło się i wirowało nad jego czołem.

- A może by tak gęsi paść, co?

- Nie! - westchnął pan zawiadowca, a piórko uniosło się znowu niczym biały znak zapytania.

- Pomówimy o tym w Gródku. Piękna stacja, nie ma co mówić! - ryknął dyrektor ruchu i jednym zamachem strącił buty pana dyżurnego ruchu ze stołu. - Wiecie, kto znajduje się w dreźnie? Komisja, która przybywa tu, by rozstrzygnąć, czy podamy na tego oto pana skargę za zbrodnię ograniczania wolności osobistej... czy też rozpoczniemy przeciwko niemu jedynie sprawę dyscyplinarną! - I wskazał dyżurnego ruchu, pana Całuska.

Zawiadowca otworzył drzwi do gabinetu, ukazując ów wspaniały dywan w czerwone i niebieskie kwiaty, mahoniowe biurko, palmę, która rozchyliła liście jak parasol, turecki stolik z przyborami do palenia i taborety, ale dyrektor ruchu pokręcił głową.

- Jaki pan, taki kram - powiedział.

Po chwili wszedł radca Murarick, który przyniósł teczkę z dokumentami, i rozłożył na stole telegrafu fotografie, fotografie wszystkich pieczętek na tyłku Zdenki Świętej, telegrafistki. Pan zawiadowca wciąż prosił, aby mu pozwolono pójść się przebrać, że ma jeszcze inny mundur, ale dyrektor ruchu Grzeczny nie pozwolił mu na to, pan zawiadowca musiał pełnić funkcję sekretarza. Następnie weszła Zdenka, nie poznałem jej nawet, jakby te pieczętki i ten skandal postawiły ją na nogi, wypiękniała jakoś, jej oczy pogłębiły się; aż mi się w głowie zakręciło, kiedy podała mi rękę i uśmiechnęła mi się prosto w oczy, kiedy powiedziała mi, że prawdopodobnie pójdzie pracować w kinematografii, bo już nawet film się nią interesuje.

Pan radca Murarick rozłożył najpierw kieszonkową mapę Europy, aby na wstępie przeanalizować i naświetlić sytuację wojskową armii niemieckich. Kiedy rozkładał mapę, ukazały się dziury. A było tak dlatego, że radca Murarick nosił tę mapę w kieszeni i poprzecierał jej rogi na zgięciach. A każda dziura w mapie była ogromna niczym Szwajcaria. Murarick poinformował nas również o sytuacji armii w Karpatach, gdzie walczyła piąta armia von Mansfelda, w której był także i jego syn, Brzetysław Murarick, ale na mapie owa piąta armia wciąż jeszcze znajdowała się w owej przetartej dziurze, już tydzień minął, odkąd do niej weszła, a ciągle nie mogła wydostać się z tego kotła, w którym walczył syn Muraricka; i on podobnie jak ojciec nie umiał dobrze po niemiecku, i zgłosił swój akces do Niemców w ten sposób, że zmienił pisownię swojego nazwiska ze swojskiego Murarzyka na Muraricka. Radca Murarick ciągnął dalej swój wykład i zakreślał ołówkiem na tej małej mapie koła, które w rzeczywistości zajmowały obszar tak ogromny jak Morze Czarne, i koła te były kotłami, które armia Rzeszy lada chwila zacznie zamykać wokół wrogów, ołówkiem zaznaczał radca Murarick przesunięcia wojsk niemieckich przez Azję Mniejszą do Afryki, gdzie zamknął w kotle wojska angielskie, a potem przez Hiszpanię dostał się na tyły armii amerykańskiej. Jednocześnie nie pominął radca Murarick również sytuacji w Protektoracie, gdzie wprowadza się totalny obowiązek pracy, co przejawia się w zarządzeniach upraszczających szkolnictwo, zamykających muzea, wycofujących niektóre pociągi i dopuszczających uprawianie sportu jedynie w niedziele.

- Czy to pani tylek? - spytał, pokazując Zdeniczce fotografię.

- Tak - odparła uśmiechając się.

- Kto pani odcisnął tam te pieczętki? - pytał radca Murarick, a pan zawiadowca zapisywał.

- Dyżurny ruchu, pan Całusek - odpowiedziała.

- A więc proszę nam, pani Zdeniczko Święta, opowiedzieć, jak się to wszystko stało - zaproponował radca Murarick.

- Odbywaliśmy wspólnie nocny dyżur, przed północą robiłam sobie manicure, a że żadne pociągi nie przejeżdżały, nudziliśmy się... - opowiadała Zdeniczka wpatrując się w sufit.

- Wolniej - poprosił pan zawiadowca.

- A potem pan dyżurny ruchu powiedział... zabawimy się w fanty... wrona leci, czas leci, pociąg leci, ręka leci, noga leci... no a ja wciąż przegrywałam, najpierw

pantofelki, potem majteczki... - wyjaśniała telegrafistka, obserwując ruch ołówka, którym pan zawiadowca notował jej wypowiedź.

- A kto je pani zdjął? - dowiadywał się radca.

- Dyżurny ruchu, pan Całusek – powiedziała i znów się uśmiechnęła.

A dyżurny ruchu siedział na krześle, z nogą założoną na nogę, ze służbową czapką na kolanach, łysina mu błyszczała i urzędnicy z dyrekcji w Gródku, przenosząc wzrok z tej jego łysiny na piękną telegrafistkę, wzdychali i kręcili głowami, po czym z jeszcze większym zainteresowaniem zagłębiali się w sprawę, z której usiłowali wprowadzić umotywowany wniosek co do zbrodni ograniczenia wolności osobistej.

Ja natomiast pełniłem tymczasem służbę, ustawiałem semafony w pozycji „otwarte”, to znów „zamknięte”, czułem, że dyżurny ruchu obserwuje wszystkie pociągi przejeżdżające przez stację, że mnie kontroluje... Dyżurny ruchu, pan Całusek, zawsze stanowił dla mnie ideał, już w Dobrowicach, gdzie mnie szkolił i wprowadzał w obowiązki, kiedy to jedną ręką potrafił ustalać, na której stacji wyminą się pociągi, a drugą ręką informować telegraficznie inną stację o ładunku... A teraz oto siedział tu jak przed sądem, czułem, że zarówno dyrektor ruchu, jak i radca Murarick, że obaj ci urzędnicy chcieliby zrobić telegrafistce Zdeniczce to samo, co zrobił jej dyżurny ruchu, pan Całusek, ale byli zbyt tchórzliwi, tak jak wszyscy, zanadto się bali, jedynym człowiekiem, który się nie bał, był dyżurny ruchu, pan Całusek, który teraz siedział oto przed nimi i rozkoszował się swoją sławą.

- A teraz, pani Zdenko Święta, proszę panią o szczególną uwagę. - Radca Murarick podniósł się. - Czy pan dyżurny ruchu, zanim położył panią na telegrafie, wywierał na panią jakąś presję, nacisk? Nie groził? Nie używał przemocy?

- Skądże znowu! Ja sama! Sama się położyłam... Nagle zachciało mi się samej tam położyć... i czekać, co zrobi... - uśmiechnęła się telegrafistka.

-... i ... i czekać, co zrobi... - powtarzał pan zawiadowca szeptem i notował.

Wybiegłem na peron. Głównym torem przejeżdżał kolejny transport pod specjalnym nadzorem, na czołgach opalali się sami młodzi chłopcy, byli tacy jak ja, niektórzy jeszcze młodszy, w blasku słońca podawali sobie zieloną piłkę, na innym czołgu śpiewali: *Ich bab mein Herz in Heidelberg verloren...*

Kiedy jednak mijali ten rozbity pociąg na piątym torze, zatrzymywali się, nieruchomieli, każdy, kto znalazł się w pobliżu tych podziurawionych kulami wagonów, przeznaczonych do naprawy w warsztatach, każdy truchlał, nawet kucharze przestawali obierać ziemniaki... Ci żołnierze tam, u siebie w domu, widzieli na pewno

jeszcze gorsze rzeczy, zbombardowane miasta, domy rodzinne w gruzach, stosy trupów, ale tego się na razie nie spodziewali...

Wszedłem do kancelarii i poinformowałem o przejeździe transportu.

Radca Murarick stanął przy oknie.

- Tam jedzie nasza nadzieja. Nasza młodzież. Jedzie walczyć o wolną Europę. A wy tu co? Odbijacie pieczętki na tyłku telegrafistki! - powiedział i wróciwszy do stołu, przejrzał fotografie, po czym je odłożył.

- Tak - oświadczył. - Zgadza się. Nie jest to ograniczanie wolności... Jest to natomiast hańbienie mowy niemieckiej, języka urzędowego, państwowego! - Podniósł się i uderzył pięścią w stół. - Połowa pieczęci składa się ze słów niemieckich. A więc to jest akt pohańbienia i zbezczeszczenia.

Wyszedłem na peron, dałem znak przejazdu pociągowi sanitarnemu, który jechał z frontu, były to jednostki pociągu pośpiesznego przemienione w szpital. I w tym pociągu sanitarnym, na który patrzyłem, najdziwniejsze były ludzkie oczy, oczy tych rannych żołnierzy, jakby to cierpienie tam, na froncie, jakie zadawali innym i jakie im z kolei zadano, jakby to cierpienie uczyniło z nich innych ludzi; ci Niemcy wydawali się sympatyczniejsi niż tamci, którzy jechali w przeciwnym kierunku, wszyscy patrzyli przez okna na monotony krajobraz tak uważnie i tak dziecinnie, jakby przejeżdżali przez sam raj, jakby moja stacyjka była sklepem jubilerskim, patrzyli takim wzrokiem, jakim dyżurny ruchu, pan Całusek, wpatrywał się w niebo. Z takim samym zainteresowaniem ci żółci inwalidzi patrzyli na mnie, tylko niektórzy mieli odwrócone głowy, jedni musieli podciągać się na wiszącym trapezie, przymocowanym do sufitu wagonu, innych znowu podpierały siostrzyczki, a pociąg jechał w stronę ojczyzny, same białe łóżka ozdobione złożonymi żółtymi rękoma i żółtymi twarzami o dziecinnych oczach. Jako ostatni wóz tego pociągu sanitarnego jechał otwarty wagon ciężarowy, gdzie dwaj sanitariusze zdejmowali właśnie z trupa szpitalną koszulę, a potem rzucili go na stos innych zeszywniałych trupów żołnierzy, którzy umarli w drodze... Pociąg sanitarny oddalał się, czerwona latarnia na końcu polśniewała i dzwoniła, poruszała się i chrzęściła.

- Najszlachetniejsza krew ryzykuje za was swoje życie! - mówił radca Murarick stojąc przy oknie. - Widzieliście ten pociąg sanitarny? A wy tu robicie takie rzeczy! Ale koniec z tym! Wniosek, panie zawiadowco, proszę pisać. Sprawa dyscyplinarna przeciwko dyżurnemu ruchu, Całuskowi Władysławowi.

Machnął ręką i wyszedł na peron. Dał znak dłonią, aby podjechała drezyna silnikowa. Zdeniczka usiadła w drezynie obok dyrektora ruchu.

Przekazałem informację o tej drezynie silnikowej. I dałem sygnał odjazdu.

- Czesi, wiecie, co to Czesi? - spytał radca Murarick. - To śmiejące się bestie!

Drezyna silnikowa przejeżdżała obok zniszczonego pociągu na torze piątym, radca Murarick patrzył na zdarte dachy, na ślady pocisków karabinów maszynowych. Pan zawiadowca wszedł na pierwsze piętro, gdzie zaczął krzyczeć i uderzać krzesłem o podłogę, tak że w kancelarii dyżurnego ruchu tynk posypał się z sufitu, i ryczał prosto w świetlik:

- Bagno moralne Starożytne miasto Sodoma. Prostytucja pod opieką policji chroni się do kawiarni, restauracji i biur. Mąż zmusił żonę, aby uprawiała nierząd! Groził, że jeśli nie pójdzie na ulicę, to przerznie jej synka piłą. Ocieranie sobie różka. Ostrzenie piórka! Lepiej by było, gdyby Pan Bóg zatrafił na Sąd Ostateczny i raz na zawsze skończył z tym wszystkim!

A potem znowu zaczął chodzić po kuchni i tupać, abyśmy na dole wiedzieli, jak okrutnie cierpi z naszego powodu. Dopiero po godzinie zszedł do swojego gabinetu. W paradnym mundurze. A tymczasem na rampę wprowadzono ostatniego byka, którego przywieziono samochodem ciężarowym; oczywiście, i tego byka dziewczyna przyprowadziła rzeźnikom aż do auta; kiedy ruszyli, byk zaczął pokazywać, co potrafi. Więc rzeźnik powiada do pomocnika:

- Bogusiu, ten skurwysyn gotów nam burty połamać. Masz tu nóż i wykłuj mu oczy!

No i pomocnik Boguś, który opowiadał nam to później w kancelarii, odwrócił się, wsunął przez okienko rękę i dwoma pchnięciami wykłuj bykowi oczy.

- Byk był później spokojny jak baranek - powiedział w kancelarii pomocnik Boguś - he, he, he, na pewno już nie chciał mieć nic wspólnego z tym światem! Kiedy kupcy z trzaskiem zamknęli drzwi za tym bykiem, pan zawiadowca się obudził. Na parapecie okna baraszkowały jego gołębie: gruchały i kiwały łebkami, ale pan zawiadowca gniewał się na nie, kręcił głową, wkładał palec za kołnierzyk, to znów zamyślał się i był smutny, coraz smutniejszy. Otworzył szafę, spojrzął na ten najnowszy mundur, którego nigdy jeszcze nie miał na sobie, a na którym wyszyta już była jedna złota gwiazda, otoczona złotym haftem i złotą nicią, z tego samego materiału, z jakiego wyszywa się gałązkę lipową na generalskich wyłogach.

Nie wytrzymał, przebiegł kancelarię dyżurnego ruchu, wpadł na pierwsze piętro do kuchni i na wszelki wypadek kilkakrotnie krzyknął przez świetlik:

- Gówno! Gówno, a nie inspektorski ogródek!

A potem, kiedy odjechały pociągi osobowe, kiedy dyżurny ruchu, pan Całusek, znów stał na peronie i patrzył w błękitniutkie niebo przedwiośnia, i z pewnością widział tam to, co ugruntowało jego sławę w całej królowo-gródkowej dyrekcji okręgowej, z pewnością widział tam ten film: na ogromnym niebieskim ekranie leży telegrafistka, a on unosi jej spódniczkę, po czym bierze jedną po drugiej pieczętki, pieczętki ogromne niczym kościelna wieża, i pieczętki te odbija na jej pięknym miękkim ciałku w okolicach pośladków... Nagle obrócił się, zdecydował, i w pomieszczeniu, gdzie znajdowały się dźwignie i uchwyty semaforów i zwrotnic, dyszki i tarcze sygnałowe, szepnął mi do ucha:

- Miloszu, jutro mamy nocny dyżur, znowu razem... przez naszą stację przejedzie pociąg towarowy złożony z dwudziestu ośmiu wagonów amunicji. Wiozą ją w otwartych wagonach... Przejedzie przez naszą stację o godzinie drugiej w nocy... Między naszą stacją i sąsiednią nie ma żadnych wzgórz i zabudowań... Cały ten pociąg mógłby tam wylecieć w powietrze na rachunek wszechświata...

- No tak, panie dyżurny ruchu, oczywiście... Ale w jaki sposób?

- Wszystko dostaniemy w odpowiedniej chwili...

- Gdzie jest ten pociąg?

- Jutro wyjedzie z Trzebicza.

- No, to teraz my będziemy specjalnie nadzorować ten transport wojskowy, prawda? - uśmiechnąłem się.

W pomieszczeniu służbowym ściemniło się na chwilę. To stado rysiów polskich przeleciało koło okna.

Z zamku nadeszła wiadomość, iż pan zawiadowca proszony jest na kolację do hrabiego Kinskiego i że o siódmej przyjedzie po niego koniuszy. Spuściłem zaciemnienie i zapaliłem światło w kancelarii dyżurnego ruchu. W gabinecie pana zawiadowcy, mimo iż tam także było światło elektryczne, zapaliłem lampę naftową z okrągłym knotem i zielonym abażurem. I wraz z panem Całuskim, dyżurnym ruchu, wychodziłem do pociągów przejeżdżających przez naszą stację, i dawałem sygnały zieloną latarką.

Pan zawiadowca przyniósł sobie do gabinetu ten swój baronowski strój, szare spodnie i myśliwską kamizelkę oraz szwarcemberski kapelusz z piórkem cietrzewia. Zostawił otwarte drzwi do kancelarii dyżurnego ruchu, przebierał się i cieszył, że ktoś na niego patrzy.

Polną drogą od zamku jechał masztalerz na białym koniu, drugiego siwka prowadził obok siebie. Na niebie drżały gwiazdy, noc promieniowała. Pod butami chrzęścił i skrzypiał zamarznięty śnieg.

Zielona lampa syczała cichutko w gabinecie pana zawiadowcy, który przyglądał się uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Był już w pełnej gali, włożył nawet reniferowe rękawiczki i szwarcemberski kapelusik. Lampa rzucała na sufit biały krąg, wokół którego rozpraszały się kręgi większe, przypominające klatkę piersiową kościotrupa. Kiedy jako malec przyjeżdżałem na wakacje do babci, paliła się u niej na stole taka sama lampa, a ja leżąc wieczorem w łóżku, z radością patrzyłem na sufit, na cienie wokół białego kręgu, który rzucała tam lampa naftowa, i bez względu na to, jak patrzyłem, zawsze widziałem na suficie takiego kościotrupa, nie pomagało nawet zakrycie oczu pierzyną: ciągle widziałem sufit, a na nim - kościotrupa. Pewnego razu, kiedy tak patrzyłem na sufit, babcia przyniosła w fartuchu polana i z łoskotem wysypała je przy piecu. Krzyknąłem:

- Kościotrup upadł!

Na peron wjechał stajenny na białym koniu z osiodłanym siwkim u boku. Oba te wierzchowce tak były białe, że promieniowały światłem jak kwitnący krzew jaśminu letnią nocą. Pan zawiadowca wyszedł z gabinetu, koniuszy zeskoczył z konia i pomógł

panu zawiadowcy włożyć nogę w strzemień. Pan zawiadowca ściągnął uzdę i pokłusował w stronę gołębnika, krzycząc w górę:

- Lulajcie sobie grzecznie. Nie bójcie się, wrócę do was! Pan zawiadowca przyjedzie! Lulajcie, moje dzieciąteczka słodkie!

A rysie polskie gruchały, uderzały skrzydłami w kratkę zamykającą okienko, pan zawiadowca zaś odjeżdżał na wierzchowcu w towarzystwie stajennego. Przejechał przez tory, po czym dwa siwki pokłusowały obok siebie po twardej polnej drodze, jeszcze rozlegał się tętent ich kopyt, siwki natomiast rozpląnęły się już na tle śnieżnej równiny: widać było tylko pana zawiadowcę i masztalerza, ich ciemne ubrania i ich postacie siedzące - zabawnie - jak gdyby w powietrzu.

Dyżurny ruchu, pan Całusek, wyjął grafiki rozkładu jazdy, zwinięte w rulony jak płótno albo jedwab, rozłożył te grafiki, pochylił się nad nimi i ołówkiem przejeżdżał wzdłuż trasy.

Odchyliłem zieloną zasłonkę i zacząłem sprzedawać bilety, z półmroku poczekalni wynurzali się podróżni, kupowali bilety i znów pogrążali się w ciemnych kątach; niechętnie wychodzili na mroźne powietrze, obserwując dyżurnego ruchu domyślali się, czy to ich pociąg osobowy właśnie przyjeżdża; niekiedy zachowywałem się wobec podróżnych złośliwie: do przyjazdu pociągu osobowego brakowało jeszcze pół godziny, a ja już ubierałem się, podnosiłem kołnierz i wychodziłem na peron, tak jakbym szedł powitać ten ich pociąg osobowy, podróżni wysypywali się za mną, ja natomiast przechadzałem się chwilę, stawiałem przy torze latarnię i wracałem do cieplej kancelarii; przemarznięci podróżni wracali również do pieca w poczekalni, skąd obrzucali mnie nieprzyjaznymi spojrzeniami.

Także pan zawiadowca wykorzystywał niekiedy mrok i nocne ciemności, wkładał gumowe kalosze i obchodził nocą stację sprawdzając, co porabiają dyżurni ruchu. Ach, mnie również przyłapał raz, jak spałem po północy na służbie. Siedziałem na krześle z brodą na piersiach i drzemałem, podczas gdy pan zawiadowca stał w poczekalni na poręczy przy kasie i górą, nad zieloną zasłonką, patrzył na mnie, po czym cichutko na gumowych podszewkach wyszedł na peron, bezgłośnie otworzył drzwi, stał nade mną w milczeniu i rozkoszował się, a następnie ujął mnie za ramię i potrząsnął, a ja - rozespany, myśląc, że jestem w domu, że to właśnie rano - zapytałem:

- Która godzina, tatusiu?

Pan zawiadowca zaś krzyknął:

- To nie żaden tatuś, lecz zawiadowca. I znajdujemy się na służbie! Tatuś!

A potem posłał na mnie raport do Gródka, skąd otrzymałem czerwone upomnienie.

Na stację wjeżdżał pociąg osobowy, wyszedłem na peron, podróżni wysypali się z poczekalni, pociąg jechał wolno, na stopniu drugiego wagonu stała Masza, w ciemnościach nocy błyszczała biała apaszka na jej szyi, na piersiach miała służbową latarkę, na przegubie konduktorskie szczytce na pasku, tak jak zawsze, nawet wtedy kiedy malowaliśmy razem cały ten płot wokół warsztatów kolejowych, jak zawsze była czyściutka, i to na końcu zmiany równie czysta, jak w chwili kiedy na nią przychodziła. Zeskoczyła ze stopnia, a kiedy wysunęła do przodu nóżkę, zobaczyłem, że ma czarne trzewiczki i białe pończochy, w jej policzkach lśniły dołeczki, a twarz w błękicie nocy jarzyła się, tak jakby sobie przed chwilą różkiem ręcznika wyczyściła uszka.

Podawała mi jabłko, trzymałem w jednej ręce latarkę, w drugiej jabłko. Masza zaś przytuliła się do mnie, objęła mnie ramionami, była silniejsza ode mnie, policzki jej pachniały mlekiem, przycisnęła się do mnie tak, że lampka olejna grzała mnie w piersi, płomień zaś przepalał aż do serca, i zaczęła szeptać:

- Miloszu, Miloszu, kocham cię, bardzo cię kocham, temu wszystkiemu, co się stało, to ja jestem winna, pytałam dziewczęta, jak trzeba postępować, pytałam te starsze, na pewno wszystko będzie następnym razem w porządku, na pewno, teraz już wiem, co robić... rozumiesz?

Odeszła o krok, wyjęła rozkład jazdy, otworzyła go i podała mi fotografię, której nigdy nie widziałem, czułem pod palcami, że jest wyświechtana... była to moja fotografia, którą dałem jej wtedy, kiedy malowaliśmy czerwoną farbą ten płot, fotografia chłopca w białym marynarskim ubranku; obróciłem zdjęcie; przyklepiona była do niego inna fotografia, od razu poznałem, kto tam jest do mnie przyklepiony, była to dziecinna fotografia Maszy, także w marynarskiej bluzie; oba zlepione zdjęcia wycięto w kształt owalu.

- Kiedy do nas przyjedziesz, Miloszu? Kiedy? - spytała.

- Pojutrze... Jeśli chcesz... - wyjąkałem.

I musiałem dać gwizdkiem sygnał: „Proszę wsiadać, drzwi zamykać! Konduktorzy na miejsca!”, a konduktorki podniesionymi latarkami dawały znaki, że gotowe; podniosłem zieloną latarnię i pociąg ruszył. Masza przytuliła się do mnie raz jeszcze, tak się do mnie przycisnęła, jak musiały się do siebie przycisnąć te nasze dwie dziecinne fotografie, aby trzymała się jedna drugiej. Masza pocałowała mnie, po czym

chwyciła się metalowej poręczy i wskoczyła na stopień, na jej piersiach świeciła błękitna latarka służbowa, a ja stałem bez słowa, bo czułem, że jestem prawdziwym mężczyzną, mogłem się o tym przekonać, dotknąłem ręką, tak, byłem mężczyzną, jak się jednak mogło stać to, co mi się zdarzyło, kiedy już-już miało z Maszą dojść do tego najważniejszego, jak to się mogło stać, że zwiędłem nagle jak lilia?

Ostatnim razem przyszyła do mnie do szpitala, pochyliła się nad moim łóżkiem, miała niebieski płaszczyk ze srebrnymi guzikami, kiedy się ten płaszczyk pochylił nade mną, te guziki polśniewały jak światła latarni nad mostem, pocałowała mnie, ale przedtem wypadł jej z kieszeni na piersiach czarny służbowy gwizdek i uderzył mnie w zęby, po czym usiadła na łóżku i przygniotła mi zabandażowaną rękę, ale wkrótce musiała odejść, właśnie budził się z narkozy jakiś pacjent, chciał wstać, ale był przypięty pasami, więc krzyczał:

- Makso, puść tę kierownicę, puść, Maksoooo!

I wyzwolił jedną rękę z pasów, sięgnął pod łóżko, chwycił szklaną kaczkę i cisnął ją ze straszliwą siłą, kaczka przeleciała przez całą salę i roztrzaskała się o ścianę, pod którą leżałem, tak że chlustający z kaczki mocz opryskał Maszę; odchodziła, a w jej włosach lśniły krople, od drzwi posłała mi całusa i dopiero wtedy na nią popatrzyłem; a potem, kiedy wyszedłem ze szpitala, rozejrzałem się, nikt jednak nie wyszedł mi naprzeciw; tego dnia byłem smutny, bo obok mnie leżała piętnastoletnia dziewczynka; znalazła w szafie podarek, jaki mieli dla niej rodzice, były to ciepłe kapce, nie wytrzymała, włożyła je i pojechała w nich do Pragi, ale pośród skał nieopodal Skalic pociąg zderzył się z innym pociągiem osobowym i ławki uderzając o siebie obcięły dziewczynie nogi; kiedy przebudziła się z narkozy, wołała wciąż:

- Włóżcie te kapce do szafy! Włóżcie je do szafy!

Szedłem ze szpitala sam; oglądając wystawy, nie poznawałem się, szukałem swojej twarzy, lecz jej tam nie odnajdywałem, jakbym był kimś innym... a kiedy tak stałem przed samym sobą w witrynie, tak że niemal sam siebie wahałem, to i wtedy jeszcze pomyślałem, że to ktoś inny; uwierzyłem dopiero wówczas, kiedy podniosłem rękę i ten na odbiciu też ją podniósł, kiedy podniosłem drugą, a ten tam zrobił to także; nagle patrzę, a koło poręczy stoi murarz, wielkie chłopisko w białym ubraniu, cały pochlapany i chropowaty od wapna, na bruku leży gaśnica przeciwpożarowa marki „Minimax” i ten murarz patrzy na mnie, i skręca w palcach papierosa, potem wkłada go do ust, pociera zapałkę, kryje ogienek w koszyczku utworzonym z dłoni, pochyła się i przypala, ale wciąż na mnie patrzy, jakby znajdowały się między nami te

drzwi w hoteliku w Bystrzycy koło Beneszowa, na wpół uchylone drzwi, gdzie ja przyłożyłem do szpary oko z jednej strony, a z drugiej strony ten murarz... miałem wtedy wrażenie, jakby ktoś z drugiej strony ujął tę samą klamkę co ja. I teraz wiedziałem już na pewno, że ten stary ogromny murarz w białym poplamionym ubraniu, że to był przebrany Pan Bóg.

Przez stację przejechało kilka pociągów towarowych, potem osobowy, przez szpary zaciemnienia w wagonie służbowym wydobywała się smuzka światła, tak jak na basenie dziewczętom wychodzą niekiedy spod kostiumów kąpielowych włoski w kroku, palacze podrzucali szuflami węgiel pod kocioł, blask tryskał w noc, a poruszające się ciało palacza rzucało ruchliwy cień na ścianę tendra, semafor wjazdowy i wyjazdowy zmieniały na przemian światła czerwone na zielone, sygnały świetlne na znakach ostrzegawczych ukazywały białe światełko: stojący wąski prostokąt - oznaczający, że tor biegnie prosto, leżący prostokąt - oznaczający, iż tor skręca; tam zaś, gdzie koło liwerpulu kończy się ślepy tor, tam przez całą noc znajduje się jasnoniebieska latarnia; w semaforach przy zmianie świateł zgrzytają z daleka ramiona, kancelaria pełna jest tykania aparatów, od czasu do czasu zadzwoni cichutko włączający się przypadkiem telefon, przy otwieraniu zapór drogowych zgrzytają kółka w bloku... i w tym świergotaniu dyżurny ruchu, pan Całusek, chodził tam i z powrotem, pełen troski o ten specjalnie przez niego nadzorowany transport, który miał po północy przewieźć dwadzieścia osiem wagonów amunicji, śledził trasę pociągu według grafiku rozkładu jazdy, po czym nasłuchiwał, spoglądał na peron w mroku i w mrok, zaglądał do poczekalni, podczas gdy ja myślałem o Maszy, drżałem na myśl, jak to będzie, kiedy znów do tego dojdzie. Teraz i ja stałem sobie na peronie, i ja spozierałem na nocne niebo, i ja widziałem tam swój własny film: na całym firmamencie kładłem Maszę, tak jak dyżurny ruchu, pan Całusek, Zdeniczkę na stole telegraficznym, i zdejmowałem z niej bieliznę sztuka po sztuce, kiedy jednak Masza leżała już naga na niebie, nie wiedziałem, co z nią robić dalej. Wiedziałem, ale nie miałem jeszcze tego doświadczenia, ponieważ jeszcze nigdy nie byłem w kobiecie - nie licząc oczywiście tego, kiedy znajdowałem się w łonie swojej mamy, ale tego nie mogłem sobie przypomnieć.

Potem usłyszałem, jak żona pana zawiadowcy schodzi po schodach, jak ze świeczką w jednej ręce i garnkiem klusek w drugiej wchodzi do piwnicy, gdzie gęgał przerażony gąsior. Stałem na peronie i przez kwadrat okienka patrzyłem do piwnicy: żona pana zawiadowcy i jej cień pochyliły się, wyjęła z garnka kluskę, po czym otwarła

dziób gąsiorowi i włożyła mu tę kluskę do dzioba, trzymała ten dziób jak składany kozik i palcami przesuwiała tę kluskę do wola. I znów wkładała kluskę do wody, i dalej karmiła gąsiora, który się wyraźnie opierał.

- Zaraz przyjdę, proszę mnie chwilę zastąpić - zwróciłem się do dyżurnego ruchu. - Odchodzę na minutkę.

I dotykając ręką wygiętej półkolistej ściany, i ostrożnie stąpając butem z jednego krętego stopnia na drugi, zszedłem po schodach na dół i cicho otwarłem drzwi do piwnicy.

- Proszę się nie bać, pani zawiadowczyni, to ja, Milosz - powiedziałem.

- Co się stało? - Przestraszyła się i stanęła nieruchomo z kluską w ręku; blask świecy, która paliła się za nią, prześwietlał jej siwe włosy, widziałem jej udręczoną twarz: taki ot, Kopciuszek, podczas gdy pan zawiadowca bawił się w barona Lanskiego z Róży.

- To ja, Milosz - powtórzyłem. - Przyszedłem do pani po radę, pani zawiadowczyni. Krótko mówiąc: pojutrze jadę do swojej dziewczyny, do Maszy, tej konduktorki, wie pani? I ona z pewnością będzie chciała, żebym... wie pani co.

- Nie wiem - wymamrotała pani zawiadowczyni i pochyliwszy się namoczyła kluskę i otworzyła dziób gąsiorowi.

- Na pewno pani wie - powiedziałem. - Proszę nie udawać, że pani nie wie... przychodzę do pani po radę... Krótko mówiąc: ciągle jestem mężczyzną, ale kiedy potem mam dać dowód, że nim jestem, to mężczyzną być przestaję. Według książek cierpię na ejakulację prekoks, wie pani?

- Nie wiem - powiedziała pani zawiadowczyni i znów umoczyła kluskę w wodzie.

- Na pewno pani wie - powiedziałem. - O, teraz na przykład, kiedy pomyślę sobie właśnie..., no i proszę, teraz jestem mężczyzną... Niech pani dotknie!

- Najświętsza Panienko! - szepnęła żona pana zawiadowcy. - Ja już, panie Miloszu, tracę okres...

- Co pani traci?

- Okres... Ależ to okropne... - Pani zawiadowczyni zaczęła drzeć i rozsypała kluski z garnka.

Ukląkłem i zbierałem te kluski, żona pana zawiadowcy zbierała je także, a ja jej przy tym opowiadałem, że sobie poderżnąłem wówczas żyły, bo w atelier u wujka No-

nemanna zwiądłem niczym lilia, w atelier „W pięć minut gotowe”, bo u mnie było już po wszystkim, zanim się jeszcze zaczęło. Żona pana zawiadowcy milczała, trzymała gąsiora za dziób.

- Niech pani dotknie, pani zawiadowczyni - powiedziałem.

- Dotknę, Miloszu - oświadczyła i pochyliła się, tak samo, jak jej cień na ścianie, i zdmuchnęła świeczkę.

- A więc jestem mężczyzną? - spytałem.

- Jest pan, Miloszu - odparła.

- No tak, pani zawiadowczyni, ale co dalej? Nie zechciałaby mnie pani przeskolić? Bardzo panią proszę... W domu wariatów doktor Wróbel mi powiedział, że powinienem sobie otrzeć rożek z jakąś starszą damą...

- Ależ, panie Miloszu, ja już tracę okres, ja już naprawdę nie chcę mieć z tym nic wspólnego... Rozumiem pana, gdybym była młodsza, to... Najświętsza Panienko, co się z wami na tej stacji dzieje? Dyżurny ruchu, pan Całusek, z tymi pieczętkami, pan znów z tym ocieraniem rożka... Wszystko się pojutrze uda, zobaczy pan, jest pan mężczyzną, jeszcze jakim mężczyzną...

Przez okienko piwnicy widziałem, jak na peron wyszedł dyżurny ruchu, pan Całusek, stanął rozstawiwszy szeroko nogi i patrzył w niebo. Ja jednak dobrze wiedziałem, że nie rozkłada mu się tam telegrafistka Zdenka, że mu na całym niebie nie wypina tyłka, ale że wjeżdża tam pociąg towarowy, dwadzieścia osiem wagonów, które nagle znikają, i w powietrze tryska ogromny obłok, rośnie wciąż jak kłęby chmur na niebie przed burzą, i jeszcze wyżej...

- Gniewa się pani na mnie, pani zawiadowczyni? - spytałem.

- Nie gniewam się, Miloszu. Wszystko to przecież ludzkie sprawy... - powiedziała.

Opierając się o ścianę, ciężko wspinała się po schodach, stopień po stopniu, aż na pierwsze piętro, po czym chodziła po kuchni i pokoju tam i z powrotem, tak jak zwykł chodzić pan zawiadowca, kiedy w żaden sposób nie mógł się odważyć powiedzieć nam w oczy, co ma przeciwko nam, i dlatego wszystko to wykrzykiwał przez świetlik, po czym schodził na dół, spokojny już i oczyszczony, bo jeśli nie wykrzyczał się do świetlika, to wydierał się na żonę, mówił jej straszne rzeczy, wszystko, co było w nim nieczyste, wszystko to wypowiadał i po chwili o niczym już nie wiedział, tak że nigdy nie musiał podrzynać sobie żył, jak ja, i nie musiał podnosić spódniczki telegrafistce i odbijać pieczętek na jej dupci, wiedziałem też z góry, że pan

zawiadowca nawet zwariować nie może, taką bowiem higienę psychiczną stanowiło dlań to, że wszystko wykrzykiwał w świetlik, resztę zaś do małżonki. A ona już wiedziała, kiedy trzeba go trzepnąć mokrą ścierką po gębie, albo posłać mu okropnie ordynarną wiązankę, która zwałała go z nóg, tak samo jak ów cokwartalny policzek, którym przywozowała go do opamiętania.

Im bardziej zbliżała się północ, tym nie spokojniejszy stawał się dyżurny ruchu, pan Całusek; spluwał, zatrzymywał się i nieustannie nasłuchiwał. Wiedziałem, że wciąż czeka, aż otworzą się drzwi i zjawi się w nich ręka, która przekaże mu jakąś wiadomość albo jakiś pakunek. Kiedy zegar pana zawiadowcy zaczął wydzwaniać północ, powiedziałem:

- Ależ ten zegar pięknie dzwoni.

Nagle drzwi otworzyły się, jakby rozchylił je przeciąg, i weszła młoda kobieta w rozpiętym płaszczu myśliwskim, spod którego widać było tyrolską bluzkę, wyszywaną w zielone gałązki dębowe i żółędzie. Miała na sobie szarą spódnicę i białe wełniane pończochy oraz półbuciki z wyciągniętym językiem. Ubrana była podobnie jak pan zawiadowca, tylko że po kobiecemu.

W ręku trzymała malutki, związany sznurkiem pakuneczek.

- *Bitte* - powiedziała. - *Ich muss nach Kersko.*

- Kersko? - mówię. - Musi pani poczekać aż do rana, to po drugiej stronie rzeki.

- *Aber ich muss nach Kersko* - obstawała przy swoim.

- To kawał drogi. Do kogo pani tam jedzie? - spytałem.

- *Ich habe einen Freund* - uśmiechnęła się i wskazała mnie palcem: - *Sie sind Hen Fahrdiensleiter?*

- Skądże znowu, to ten tam - powiadam.

- Pan jest dyżurnym ruchu, Całuskim? - spytała.

- Ja - odparł.

- A ten tu? - wskazała mnie.

- *Mein Freund* - wyjaśnił dyżurny ruchu.

- Milosz Pipka - przedstawiłem się.

- Wiktoria Freie. - Skinęła głową i podała mi rękę.

- Wiktoria Freie? - zdziwił się pan Całusek.

A ja już wiedziałem, że to ta wiadomość, poznałem to, zrozumiałem, że Wiktoria Freie to ta ręka, która ma przekazać wiadomość i znak, tymczasem jednak

wiadomość ta wcale dyżurnego ruchu, pana Całuska, nie uradowała, wprost przeciwnie, raczej pobladł jeszcze bardziej, to oświadczenie zupełnie wytrąciło go z równowagi, widziałem, że nie ma w nim ani odrobiny pożądania, a nawet, że nie spojrzął ani na pośladki, ani na piersi tej pięknej kobiety, a przecież miał zwyczaj rozbierać kobiety oczyma. Ta Tyrolka zaś była - jak tak na nią patrzyłem - i cycową, i dupiarą jednocześnie.

Wyszedłem na peron i dałem znak pociągowi towarowemu, że może odjeżdżać, wykropiłem go zielonym światłem. A potem, kiedy wróciłem i zawiadomiłem sąsiedni przystanek, podając godzinę, kiedy ten pociąg przejechał przez moją stację, pakunek zniknął. A Wiktoria ziewała i przeciągała się, i robiła do mnie oko, a ja poczułem nagle do niej zaufanie, tak że, kiedy powiedziała, że chętnie by się tak z godzinkę zdrzemnęła, otworzyłem drzwi gabinetu pana zawiadowcy, tak jak to robił w Dobrowicach dyżurny ruchu, pan Całusek, zanim rozdarł ceratę na owej kanapie, ona zaś weszła, a ja przyniosłem swój płaszcz i położyłem go na kanapie; zielony abażur rzucał łagodne światło, słyszałem, że gołębie w gołębniku wciąż jeszcze są niespokojne, niespokojniejsze nawet niż wówczas, kiedy pan zawiadowca odjeżdżał, tak jakby tam do nich wtargnęła kuna albo łasica, tak gruchały przerażone i uderzały skrzydłami.

- Nazywam się Milosz Pipka - wyjąkałem. – Wie pani, ja sobie poderznąłem żyły, bo cierpię na ejakulację prekoks. Ale to nieprawda. Wprawdzie zwiędłem przy mojej dziewczynie jak lilia, ale między nami mówiąc, jestem naprawdę mężczyzną.

- A więc pan nie miał jeszcze żadnej dziewczyny? - zdziwiła się Wiktoria.

- Nie miałem, próbowałem tylko... i dlatego, niech mi pani poradzi, bardzo proszę...

- Naprawdę nie miał pan jeszcze żadnej? - dziwiła się coraz bardziej.

- Żadnej, bo Maszę, jak wtedy wlaźła do mojego łóżka u wujka Nonemanna w Karlinie, Maszę wprawdzie miałem przy sobie, ale nic mi z nią nie wyszło, bo – jak powiedziałem - zwiędłem jak lilia...

- A więc pan naprawdę nie miał jeszcze żadnej - powiedziała i uśmiechnęła się, i miała dołeczki – takie same jak Masza - i oczy jej złagodniały, jakby zdziwiło ją jakieś nieoczekiwane szczęście albo jakby znalazła jakiś bardzo cenny przedmiot, i zaczęła dotykać palcami moich włosów, jakbym był fortepianem, a potem spojrzała na zamknięte drzwi do kancelarii dyżurnego ruchu i pochyliła się nad stołem, skręciła knot i głośnym dmuchnięciem zgasiła lampę, znalazła mnie po omacku i zaczęła się ze

mną cofać w stronę kanapy pana zawiadowcy, i położyła się, i pociągnęła mnie na siebie, a potem była dla mnie czuła, tak jak mama, kiedy byłem mały, a mamusia mnie ubierała albo rozbierała, pozwoliła mi, abym jej pomógł podnieść spódniczkę, po czym czułem, jak uniosła i rozchyliła nogi, położyła te swoje tyrolskie buty na kanapie pana zawiadowcy, i nagle byłem z Wiktorią zlepiony tak jak byłem zlepiony na fotografii w marynarskim ubranku z fotografią Maszy, i ogarnęło mnie światło, które wzmagало się nieustannie, wciąż wspinałem się w górę, cała ziemia drżała, rozlegało się dudnienie i grzmoty, miałem wrażenie, że dźwięki te nie dobiegają ani ze mnie, ani z ciała Wiktorii, ale z zewnątrz, że cały budynek drży w posadach, brzęczą szyby, słyszałem, że na cześć tego mojego triumfalnego wjazdu w życie rozdzwoniły się nawet telefony, że telegrafy ni stąd, ni zowąd zaczęły wygrywać sygnały Morse'a, tak jak się to działo w kancelariach dyżurnych ruchu podczas burzy, wydawało mi się nawet, że gołębie pana zawiadowcy gruchają wszystkie bez wyjątku, że i horyzont uniósł się nieco, by zapłonąć barwą ognia, że budynek stacji zadrżał teraz znowu, że zakłósał się lekko w posadach...

A potem czułem, jak ciało Wiktorii Freie wygięło się w łuk, słyszałem jak jej okute buty wryły się w ceratę kanapy, słyszałem, jak cerata drze się, drze się nieustannie, i skądś z paznokci rąk i nóg zbiega mi do mózgu olśniewający dreszcz, wszystko nagle stało się białe, potem szare, potem brunatne, jakby spadający strumień gorącej wody przemieniał się w zimny, i w kręgosłupie poczułem przyjemny ból, jakby mi ktoś wbił weń hak murarski.

Otworzyłem oczy, Wiktoria wciąż jeszcze miała palce w moich włosach i oddychała ciężko, ja zaś widziałem przez szparę w oknie, jak nad horyzontem wznosi się czerwono -bursztynowa barwa odległego pożaru, jakby błyskało się na pogodę. A gołębie pana zawiadowcy gruchały niespokojnie, latały po gołębniku, uderzały o ściany i sufit i padały na ziemię, tłukąc przerażonymi skrzydłami.

Wiktoria Freie usiadła i zaczęła nasłuchiwać. - Gdzieś jest okropny nalot - odezwwała się, poprawiając sobie włosy.

Otworzyłem okno i podciągnąłem zaciemnienie, które zwinęło się u góry. Daleko za wzgórzami coraz to wybuchały nowe i nowe ognie, horyzont cały był w czerwieni i otwierał się w kierunku pagórków, tam gdzie znajdowało się jądro kataklizmu.

- To pewnie Drezno - powiedziała.

Wstała i zaczęła się czesać. Grzebień wywodził z jej włosów niezwykle tony.

Pomyślałem o jej prężnym ciele: ujrzałem ją nagle na trapezie.

- Czym pani jest? - spytałem.

- Artystką cyrkową - odparła i czesząc gęste włosy, odchyliła głowę. - Przed wojną demonstrowaliśmy „barwną paletę napowietrznych atrakcji”.

Usiadłem na kanapie; bezszelestnie przesuwałem dłonią po ceracie. Kanapa była rozdarta na pół. Z otworu wyłaziła morska trawa.

Przez stację przejeżdżał pociąg towarowy, tryskając iskrami z komina. Wiktoria stała w oknie i wyczesywała te iskry z włosów. Potem na drodze polnej zjawili się na tle rozognionego nieba dwaj jeźdźcy.

Wstałem, po raz pierwszy w życiu czując w sobie spokój.

- Dziękuję - powiedziałem.

- I ja dziękuję - odparła, podniosła płaszcz i przeszła do kancelarii dyżurnego ruchu. Spojrzała na zegar. Odetchnęła. Wsunęła rękę pod bluzkę i poprawiła sobie pierś w staniku. I wyszła na peron, gdzie rozstawiwszy szeroko nogi, stał dyżurny ruchu, pan Całusek, i patrzył w niebo. Chwilę rozmawiali, po czym Wiktoria wróciła i oświadczyła:

- *Und jetzl muss ich wirklich nach Kersko...* - Uśmiechnęła się i ruszyła obok ogródka pana zawiadowcy, potem zaś idąc aleją lipową, zniknęła między domami.

Przyjechał na białym wierzchowcu pan zawiadowca, lekko zeskoczył z siodła i rzucił lejce masztalerzowi, który spiął konia ostrogami i pokłusował z powrotem.

Pan zawiadowca udał się prosto pod gołębnik.

- Kociątka moje majowe! - wołał. - Czegóż to tak się boicie? Co wam kto zrobił? Dzieciątka moje skrzydlate! Pan zawiadowca wrócił już do was. Hola, hola!

Następnie wszedł wesoło do kancelarii dyżurnego ruchu, usiadł na krześle twarzą do poręczy i powiedział:

- Księżę pan przesyła panu, panie Całusek, serdeczne pozdrowienia. Baron Bettmann Holweg przyniósł te fotografie Zdenki. Wszyscy arystokraci są zachwyceni i pragną pana zobaczyć. Sam hrabia, panie Całusek, prosił, abym panu powiedział, że on panu zazdrości, że jemu by to nie przyszło do głowy. W przyszłym tygodniu zaprasza pana, panie Całusek, na zamek. Musiałem przy stole zreferować całemu towarzystwu, jak to wszystko wyglądało...

I podniósł się: telegraf wzywał naszą stację.

- *Bahnhofsperrre Dresden, Pirna, Bauizen...*

Pan zawiadowca wyszedł na stację i w kierunku, skąd nieustannie rozlegało się dudnienie i gdzie horyzont stał w ogniu, krzyknął:

- Nie trzeba było zaczynać wojny z całym światem!

Dyżurny ruchu, pan Całusek, zapalił lampę z abażurem na stole telegraficznym, otworzył księgę z telegramami na krawędzi stołu, po czym dał znak, że chce mi pokazać coś bardzo ważnego w informacjach, jakie nadeszły, ale ja wiedziałem od razu, że będzie to coś zupełnie innego. Dyżurny ruchu był zmartwiony, a kiedy wskazywał mi ołówkiem informacje, ostrze ołówka drżało i kreśliło po papierze linie niczym kardiograf. Ostrożnie otworzył szufladę, a ja, choć powinienem patrzeć na ostatnią linijkę, zezowałem do szuflady. Kancelarię dyżurnego ruchu rozświetlał jedynie krąg blasku nocnej lampki, ale na dnie szuflady błyszczał rewolwer, poza tym zaś taki przedmiot podobny do latarki, który jednak zamiast szkiełka miał coś niby tarczę zegarka i który cicho tykał.

- Miloszu - powiedział dyżurny ruchu szeptem nadal wskazując i podkreślając informacje w tej księdze - Miloszu, najlepiej będzie stanąć na peronie i rzucić to na środkowy wagon. Damy temu pociągowi sygnał „stój”, a w ostatniej chwili zapalimy zielone światło.. Przyhamujemy go sobie...

- To prawda - powiedziałem i czułem, że we wszystkich oknach poczekalni, we wszystkich szparach w zaciemnieniu, że wszędzie mogą być szpiegujące oczy. Dlatego wziąłem ołówek i również zacząłem podkreślać wiadomości w księdze telegrafów, szepcząc przy tym: - Pamiętaj pan, jak nam opadło ramię semafora? Wtedy jak przejeżdżała ta „rakietka”? Wie pan co? Teraz zrobię tak samo. Wejdę na ten semafor i z góry wychylę się - o, tak - i rzucę tę petardę na środkowy wagon, po czym zejść na dół i zobaczymy, co się stanie... Gdzie znajduje się ten nasz transport pod specjalnym nadzorem?

- Minął już Podiebrady, będzie tu za pół godzinki - parsknął dyżurny ruchu, brzuchem zasunął szufladę i zupełnie niepotrzebnie podpisał się na karcie księgi. - Nie boisz się?

- Nie, nigdy nie czułem się tak spokojny... - powiedziałem. - Ach, jestem mężczyzną, jestem mężczyzną tak samo jak pan, panie dyżurny ruchu... Jestem mężczyzną, a to piękne: być mężczyzną. Wszystko już ze mnie opadło, o tak - wziąłem nożyczki i ciąłem nimi w powietrze - o tak, w ten sposób odciąłem się od przeszłości. - Zaśmiałem się i podniosłem słuchawkę telefonu.

- „Rakieta” - oznajmiłem i dałem znać do nastawni: Przetawić zwrotnice dla pociągu zbiorowego, numer pięćdziesiąt trzy sześćdziesiąt jeden - wykręciłem kod na bloku, i wyszedłem w noc; na horyzoncie wciąż jeszcze ciągnęła się ogromna plama, ciągle jeszcze wyglądało tam tak, jakby przed chwilą zaszło słońce. Przerzuciłem lekko dźwignię semafora i sygnału tarczowego. Nigdy jeszcze nie byłem tak spokojny, nieustannie miałem wrażenie, że matka gładzi mnie po głowie, tak jak robiła to w dzieciństwie, kiedy odpędzała ode mnie złe sny. A dyżurny ruchu, pan Całusek, chodził po kancelarii, spoglądając w podłogę, nie wyszedł nawet popatrzeć na niebo; teraz już, tak jak on, doskonale zdawałem sobie sprawę z odpowiedzialności za to, jak to się skończy. A jeśli dobrze, to co dalej? Nie myślałem o tym jednak - nie żebym nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji, przemyślałem wszystko do końca, ale teraz mnie to już nie interesowało, skupiłem się wyłącznie na tym, żebym tę rzecz upuścił dokładnie na ten wagon, żeby cały pociąg wyleciał w powietrze, niczego innego nie pragnąłem i nic innego nie widziałem na niebie prócz tego wzbijającego się nieustannie coraz wyżej obłoku, który wchłania w siebie szczątki wagonów i szyn, i podkładów; myślałem o tym, że właściwie to już dawno taka rzecz powinna mi być przyjść do głowy, już choćby dlatego, że to ich czołg zmiażdżył mojego dziadka-hipnotyzera, który sam jeden wyszedł naprzeciw najeźdźcom, sam przeciwko całej armii, z wyciągniętymi przed siebie rękoma i jedną myślą: aby Niemcy zawrócili i wycofali się tam, skąd przyszli. I tak zresztą, chociaż głowę dziadka urwały gąsienice czołgu, to jednak duch dziadka nieustannie pchał teraz armię za armią, czołg za czołgiem, żołnierza za żołnierzem, pchał z powrotem w głąb Niemiec, tam skąd wyruszyli i dokąd wypierały ich wojska rosyjskie... Ale ja zapomniałem o dziadku, bo jeśli bym pomyślał o nim wcześniej, mógłbym zdobyć się na inne rzeczy. Za dwadzieścia minut przyjedzie mój pociąg wyładowany amunicją i będę miał okazję dokonać wielkiego czynu, nie jestem już bowiem zwiędłą lilią...

Nigdy nie przypuszczałem, że kryje się we mnie tak wielka siła, tak jak nigdy bym nie przypuszczał, że dyżurny ruchu, pan Całusek, będzie coraz bardziej zatroskany: nie mógł się już nawet przechadzać, stał tylko z szeroko rozstawionymi nogami nad blokiem i czekał na sygnał telefonów, które zapowiedzą ten specjalnie przez nas nadzorowany pociąg.

Wszedłem do kancelarii, otwarłem szufladę, włożyłem do kieszeni płaszczą tę petardę, dyżurny ruchu, pan Całusek, zasłaniał mnie swoim ciałem. Do drugiej

kieszoni wsunąłem rewolwer, po czym przejechałem ołówkiem po liniach księgi telegrafów i podpisawszy się, odłożyłem ołówek do szuflady.

Dyżurny ruchu podszedł do czarnej tablicy, na której od wczoraj wypisane były kredą wszystkie pociągi pod specjalnym nadzorem, ta seria dwudziestu transportów wojskowych, które miały podjąć próbę utrzymania przełamanego frontu, wskazywał je palcem i szeptał:

- Nastawię ci to, Miloszu, na ostatnią chwilę...

- Aha... ale ta „rakieta” się denerwuje... - powiedziałem.

I wyszedłem na peron. „Rakieta” wjechała na stację i zatrzymała się. Z wagonu wyskoczył kierownik pociągu.

- Okropne... Całe Drezno kaput! - powiedział.

Za nim wyskakiwali z wagonu towarowego inni podróżni, wszyscy wyglądali tak, jakby uciekli z obozu koncentracyjnego, mieli spodnie w paski; kiedy jednak weszli do kancelarii, przekonaliśmy się, że to po prostu ludzie w pasiastych piżamach, na które narzucili płaszcze, tak jak zdążyli uciec z domów, ledwie ratując życie. Wszyscy mieli nieruchome oczy i nie odzywali się ani słowem.

Kierownik pociągu zwałił się na krzesło i ścisnął palcami czoło.

- Całe Drezno jedna ruina. Ci ludzie napchali mi się przemocą do wagonu pocztowego - powiedział kierownik pociągu i wstał ciężko, tak jak podnosi się zmęczony koń. Przez chwilę opierał się obu pięściami o stół telegrafu, potem zaczął przesuwać ręce i wreszcie stanął z pochyloną głową. Wydawało się, że usnął. A ci Niemcy stali zupełnie tak samo, wpatrywali się w ziemię i, być może, widzieli tam te swoje ostatnie chwile: jak wyskakują przez okna do ogrodów i na ulice, a wszystko odcięte jest od nich padającymi drzewami i walącymi się ścianami i belkami. Wszyscy ci Niemcy mieli bardzo długie ręce, teraz sięgały im niemal do kolan, i wciąż jeszcze ani jeden z nich się nie odezwał, nie mrugnął oczyma, jakby przerażenie poobcinało im powieki. Ja jednak nie litowałem się nad nimi, ja, który kiedyś płakałem nad każdym kozłkiem, któremu poderżnięto gardło, i nad wszystkim, co znalazło się w nieszczęściu, ja się nad tymi Niemcami nie litowałem.

Kiedy jeszcze byłem w szpitalu z tymi swoimi poderżniętymi żyłami, odwiedzałem swoją daleką ciotkę. Ciotka ta - imieniem Beatrycze - już od pięćdziesięciu lat była siostrzyczką w szpitalu i opiekowała się oddziałem, na którym umieszczano śmiertelnie poparzonych ludzi, obecnie przede wszystkim żołnierzy, których już z frontu przywożono w oleju, takie ci to były niemal amfibie. I ta moja

ciotka Beatrycze gotowała im zupki jarzynowe, a jeśli który z nich bardzo cierpiał, robiła mu zastrzyk z morfiny. Chodziłem tam do niej, bo ciotka Beatrycze każdemu przynosiła ulgę, taka była wspaniała i silna, że jeśli na kogo spojrzała, to zaraz ogarniał go spokój, chyba dlatego, że pracowała na tym oddziale już tyle lat... A jednak płakałem nad tymi niemieckimi żołnierzami, kiedy widziałem, jak przyjeżdżały do nich ich ukochane i żony, jak ci żołnierze z olejowej kąpieli dawali ostatnie wskazówki i radzili swoim małżonkom, za kogo mają wyjść za mąż, jak załatwić sprawy związane z dziećmi i majątkiem, podnosiłem się i chciałem odejść, ale ciotka Beatrycze wciskała mnie z powrotem w krzesło i kroїła marchewkę i selery, i pietruszkę, kroїła i śpiewała cichutko, za każdym razem na inną melodię: Gefreiter Schultze jutro umrze, Gefreiter Schultze jutro umrze, umrze, umrze...

Śpiewała to na melodię „Na tym praskim moście konwalijka rośnie...” i kroїła nożem marchew, pietruszkę i selery... i wiedziała, że jutro da szeregowcowi Schultzemu nieco większą dawkę morfiny i w ten sposób skróci o kilka dni jego cierpienia, bo już zdążył się pożegnać...

A nazajutrz znowu śpiewała cichutko: „Oberleutnant Ditie, ach, on jutro umrze, ach, on jutro umrze...”

I śpiewała to na melodię „Dała mi dziewczyna pierścioneczek złoty...”, i kroїła warzywa, a ja patrzyłem na młodych mężczyzn w wannach, wszyscy wyglądali tak, jakby się kąpali, nie życzyłem im, aby jutro pomarli, pragnąłem, aby mogli wrócić do swoich żon, do kochanek, z którymi rozmawiali po raz ostatni, bo jeśli już kogoś dano tu na dół, do siostry Beatrycze, to wiadomo było, że z nim koniec. Teraz jednak, kiedy tu przyjechali ci ludzie z Drezna, nie mogłem już litować się nad nimi, tylko oni mogli się nad sobą litować. I ci Niemcy to wiedzieli.

Kierownik pociągu podniósł się i powiedział do Niemców:

- *Sollten sie am Anch zu Hause sitzen!*

I wyszedł na peron, podniósł rękę i lokomotywa z wolna ruszyła. Kierownik pociągu wskoczył na stopień wagonu służbowego.

- Sam Pan Bóg nam tu tych Niemców zesłał - szeptał dyżurny ruchu. - Poświadczą, gdyby coś... - parsknął, a ja usłyszałem, jak wzdłuż torów, od domku dróżnika, przebiega sygnał: młoteczek uderzający w pęknięty dzwon... I od razu wiedziałem, że to mój pociąg.

Wszedłem do kancelarii, dyżurny ruchu trzymał słuchawkę telefonu i patrząc na jego blednącą twarz, wiedziałem, że to ten specjalnie przez nas nadzorowany pociąg.

Przekręciłem klucz. Niemcy stali wokół pieca, ciągle jeszcze nieruchomi, jak rzeźby na kolumnie wotywniej z czasów zarazy na rynku w naszym miasteczku. Teraz jeden z nich się rozplakał, jakoś bardzo dziwnie: gruchał niemal tak jak gołębie pana zawiadowcy, kiedy budził je ze snu nalog; dopiero po chwili ten Niemiec zaczął płakać po ludzku i wtedy jego ciało rozprężyło się; pozostali Niemcy także zaczęli pociągać nosami, a potem rozplakali się wszyscy, każdy inaczej, ale w zasadzie był to ludzki płacz, szloch nad tym, co się stało. Jednemu Niemcowi, temu, który chłodził sobie rozpalone czoło o ścianę, zaczęła ciec krew z nosa i nagle osunął się na ziemię, kreśląc na ścianie czerwoną linię.

Dyżurny ruchu, pan Całusek, spojrział na mnie, czapkę miał znowu nasuniętą na czoło, tak że musiał unieść brodę.

Wybiegłem z kancelarii, wpadłem do pomieszczenia obok i wyrzuciłem sygnał tarczowy. Otworzyłem semafor wjazdowy, podczas gdy wjazdowy postawiłem w pozycji „stój”.

Przyszedł dyżurny ruchu. Wyjąłem z kieszeni ten przyrząd, poświeciłem latarką, a on przekręcił kółka, jakby nastawiał ostrość w aparacie fotograficznym.

Gołębie ciągle nie mogły usnąć, wciąż gruchały, poruszały się przez sen, słysząc było uderzenia ich skrzydeł o ściany.

Dyżurny ruchu, pan Całusek, podał mi rękę, zimną i wilgotną jak ryba. Ruszyłem wzdłuż toru. Przez księżyc przebiegła druga chmura i zaczął padać suchy śnieg. Odwróciłem się i zobaczyłem z daleka osłonięty reflektor lokomotywy. Księżyc wypłynął zza tej chmury śnieżnej, równiny pól iskrzyły się wśród mroźnej nocy, słyszałem znów tykanie wszystkich tych zamarznionych kryształków, jakby w każdym z nich poruszała się kolorowa wskazówka sekundnika.

Wspiąłem się na maszt semafora jak po drabinie. Znowu przebiegła chmura i znów zaczął padać śnieg, delikatny jak chmara jętek. Siadłem okrakiem na lampie. Parowóz wjeżdżał na stację i gwizdał żałośnie, bo nie miał wolnej drogi. Czulem, jak skrzydło semafora podnosi się unosząc mi rękę i lampa wymieniła czerwone światło na zielone. W tym położeniu „droga wolna” ramię semafora osłaniało mnie dostatecznie, było bowiem większe niż ja, Lokomotywa gwizdnęła, widziałem, jak dyżurny ruchu pokazuje maszyniście zieloną latarką, że może jechać; siedziałem na

semaforze, śnieg padał, czułem, jak kłują mnie jego płatki, widziałem, jak obficie pada ten śnieg. Nie poruszałem się, w rękę trzymałem tę rzecz, słyszałem, jak wnika we mnie rytm jej mechanizmu, potem parowóz przejechał, z wierzchu osłonięty był plandeką, aby piloci samolotów nurkujących nie widzieli z daleka, jak palacz podrzuca węgiel, następnie zaś wagon za wagonem, niskie, otwarte wagony, a na nich w skrzynkach proch strzelniczy, skrzynki poprzekładane warstwami słomy... trzy, cztery, pięć wagonów, liczyłem je, księżyc ukrył się za beżową chmurą, z której gęsto sypał śnieg... a jednak księżyc widoczny był ciągle niczym zatopiona obręcz na dnie potoku, który płynie płytkim korytem, siedem, osiem, dziewięć, śnieg tak się rozpadał, że przez chwilę nie widziałem ani lokomotywy, ani ostatniego wagonu pociągu, jedenaście, dwanaście, trzynaście.. i potem lekko rzuciłem ten przyrząd, tak jakbym rzucał kwiaty do rzeki, wyliczyłem to sobie dokładnie, rzuciłem, kiedy znalazł się przede mną przód wagonu i ta rzecz spadła akurat pośrodku wagonu, który podjechał pod nią; leżała tam teraz i prowadziła ten transport pod specjalnym nadzorem ku jego zgubie. Nieustannie, do ostatniej chwili patrzyłem na wagon, na tę plamę, jaką miał pośrodku, na ten czternasty wagon, dopóki śnieg go nie przysłonił... Postanowiłem, że będę stąd, z góry, patrzeć przez cztery minuty, aż do tej chwili będę patrzeć z mego stanowiska, jak myśliwy poczekam tu na moment zniszczenia i zagłady... A potem zobaczyłem, jak zbliża się ostatni wagon z budką na końcu, skąd wytrysnęła nagle długa smuga światła i zatrzymała się na mnie, wyjąłem rewolwer i widziałem, jak tuż przede mną błysnęła lufa karabinu. Strzeliłem i jednocześnie strzelił ktoś z tej budki, i latarka poleciała na ziemię, i paliła się w żwirze między podkładami, po czym z budki pociągu ktoś wypadł, runął koło niej i potoczył się do rowu. I ja poczułem ból w ramieniu, rewolwer wysunął mi się z ręki i zwałem się głową w dół, ale zaczepiłem się płaszczem o klamrę; w semaforze załaskotało i zielone światło przemieniło się w czerwone, ramię przesunęło się do pozycji poziomej, wisiałem głową w dół i słyszałem, jak drze się mój płaszcz, z kieszeni wypadły mi klucze i drobny bilon i spadał obok huczących uszu, widziałem, jak pociąg się oddala, jak cały wjeżdża w zakręt, ukazał mi się nagle do góry kołami, jakby jechał po sklepieniu nieba, czerwone latarnie na końcu oddalały się coraz bardziej. Pod semaforem w rowie widziałem żołnierza, który zwinął się w kłębek, padał na niego śnieg, zgubił czapkę, miał łysą głowę... Bluza pękała mi z wolna, czułem, jak spod koszuli płynie mi po szyi krew, płaszcz nie wytrzymał, puścił... i zacząłem spadać na łeb, na szyję w czarny, pachnący olejem i przesiąknięty parą żwir...

Spadłem na ręce, krawędzie ostrych kamieni przecięły mi dłonie. Stoczyłem się do rowu, tuż obok tego niemieckiego żołnierza, który leżał na boku i zaczął maszerować w miejscu, nieustannie, jakby szedł, ciężkimi buciorami zdzierał śnieg aż do zmarzniętej ziemi i darni, trzymał się za brzuch i jęczał. Przyłożyłem dłoń do ust, a kiedy kaszlnąłem, zobaczyłem na ręce krew. Ten niemiecki żołnierz przestrzelił mi płuca, a ja mu chyba brzuch. Teraz zrozumiałem, dlaczego dyżurny ruchu, pan Całusek, przez cały wieczór chrząkał i spluwał, jakby z góry widział ten mój koniec, bo dyżurny ruchu, pan Całusek, nigdy się niczego nie bał, to chyba było silniejsze niż on, wszystko jakby stało się wcześniej, niż się stało... Patrzyłem w niebo, skąd padał śnieg, potem przewróciłem się na bok i przyczołgałem się aż do tego żołnierza, który zaczął jęczeć i powtarzać wciąż jedno słowo.

- *Mutti, Mutti, Mutti!* - wołał, a ja patrzyłem na niego, wykasływałem krew i wiedziałem, że ten żołnierz nie przyzywa swojej matki, ale matkę swoich dzieci, bo był już łysy; kiedy się nad nim pochylałem, spostrzegłem, iż bardzo podobny jest do dyżurnego ruchu, pana Całuska, tak bardzo, że aż się przeraziłem. I ciągle trzymał się za brzuch i ciągle jakby chciał odejść od tego swojego przestrzelonego ciała, ciągle maszerował w miejscu i podeszwami ciężkich wojskowych butów orał śnieg aż do zmarzniętej ziemi.

Rozpostarłem ręce i położyłem się na wznak, z kącika ust ciekła mi krew, a piersi miałem pełne ognia. Nagle ujrzałem to, co zapewne nieustannie widział pan Całusek: że jestem zgubiony, że mogę jedynie czekać, aż ten pociąg wyleci w powietrze, że jeśli już nic innego, to tylko to mi musi wystarczyć w tej sytuacji, niczego bowiem nie mogę oczekiwać prócz śmierci: albo umrę na skutek tego postrzału, albo Niemcy znajdą mnie i powieszą czy też rozstrzelają, tak jak to mają w zwyczaju, tak więc pojąłem i zrozumiałem, że inna śmierć mi była przeznaczona niż ta, jaką próbowałem sobie zadać w Bystrzycy koło Beneszowa; przykro mi tylko było, że postrzeliłem w brzuch tego Niemca, który ciągle przyciskał ręce do pachwiny i ciągle maszerował tymi butami, i wiedziałem, że jemu też nikt już nie pomoże, ponieważ postrzał w brzuch jest śmiertelny, tylko że ta śmierć, ku której kroczył ów Niemiec, znajdowała się daleko, tak że nigdy nie mógłby dojść do niej w ten sposób, maszerował bowiem w miejscu, powtarzając sobie do taktu:

- *Mutti, Mutti, Mutti!*

Te jego wojskowe buty grzebały mi w mózgu. Przewróciłem się i na łokciach dotarłem aż do tych butów żołnierza, usiłowałem je oburącz zatrzymać, ale nogi

znajdowały się w nieustannym ruchu, wyrywały mi się, jakby to były tłoki jakiejś maszyny. Wyjąłem z kieszeni sznurek, jakim przywiązywałem numerki do rowerów albo do wózków, kiedy pasażerowie brali je ze sobą w podróż do wagonu bagażowego, wytarłem krew i przywiązałem jeden koniec sznurka do jednego buta, a kiedy nogi się mijaly, uwiązałem do niego drugi but; nogi na chwilę przestały maszerować, szarpały się, po czym z siłą maszyny zerwały sznurek i znów poruszały się po ziemi, przyspieszyły nawet kroku; żołnierz zaś krzyczał coraz głośniej:

- *Mutti, Mutti, Mutti!*

I coraz bardziej przypominał mi coś, o czym nie chciałem myśleć, a mianowicie to, że nazajutrz moja matka będzie stała za firanką i czekała, a ja już nigdy nie przyjadę, nie skrećę z uliczki na plac, ona zaś nie poruszy firanką na znak, że oczekiwała mnie, że mnie widzi, że jest szczęśliwa, bo moja mama nigdy nie śpi spokojnie, kiedy mam nocną zmianę, tak samo zapewne żona tego żołnierza, od chwili kiedy pojechał na front, nie może usnąć, również stoi gdzieś za firanką i czeka, aż ktoś wejdzie w uliczkę albo skreći do niej, i będzie to ten, który tu maszeruje w miejscu i przyzywa ją, i idzie, wciąż idzie, ale zbliża się jedynie do śmierci. Dopełzłem do niego i krzyknąłem mu do ucha:

- *Rube! Rube!*

Ale ten żołnierz wiedział już swoje. Położywszy rękę na śniegu, aby się oprzeć, poczułem chłodną lufę karabinu, wziąłem go i przewróciłem się na bok. Żołnierz leżał, a ja naprzeciw niego. Przyłożyłem mu karabin tam, gdzie powinno być serce, pomyliła mi się prawa i lewa strona, stwierdziłem, która jest która, w ten sposób, że najpierw jedną, a potem drugą ręką spróbowałem, czy można nią pisać, tak, przyłożyłem lufę karabinu do serca żołnierza, aby już nie krzyczał, aby już nie chodził mi po mózgu, i nacisnąłem spust. Rozległ się wystrzał, zduszony ogienek osmalił mundur, w powietrzu czuć było zapach spalonej wełny i bawełny, ale ten, żołnierz tylko jeszcze głośniej przyzywał matkę swoich dzieci, swoją żonę, i jeszcze szybciej szedł w miejscu, jakby to były ostatnie kroki, a potem już tylko ogródek, za nim zaś domek, w którym mieszkają jego najdrożsi...

Śnieg przestał padać, wyszedł przepiękny księżyc, wokół - w całej okolicy - tykały kolorowe wskazówki sekundników, które znajdowały się w każdym płatku śniegu; na szyi żołnierza błysnął białosrebrny łańcuszek, a na tym łańcuszku coś, co żołnierz chwycił obiema rękami, wołając jeszcze głośniej:

- *Mutti, Mutti, Mutti!*

Przyłożyłem mu lufę karabinu do oka i nacisnąłem spust, leżąc przy tym w niezwykle dziwnej pozycji. I usłyszałem, że zamilkł, widziałem, jak jego nogi z wolna i cicho przestały się poruszać, zatrzymały się, leżałem na nim i słyszałem, jak w ciało żołnierza wnika spokój i cisza, jak wszystko się zatrzymuje - niczym maszyny, kiedy odezwie się syrena na fajrant. I ze mnie ciekła krew i plamiła mundur tego żołnierza, wyjąłem chusteczkę i usiłowałem zetrzeć tę krwawą plamę, oddychałem z trudem, zacząłem się dusić, ale zebrałem wszystkie siły, przewróciłem się na bok i wyciągnąwszy rękę chwyciłem ten łańcuszek, którego trzymał się Niemiec; twarz jego była spokojna, tylko zamiast prawego oka miał opalony otwór niczym błękitny monokl... urwałem ten łańcuszek, którego trzymał się zabity, i w blasku księżyca zobaczyłem, że to medalik, na którego jednej stronie jest zielona czterolistna koniczyna, a na drugiej napis:

BRINGE GLUCK!

Nie przyniosła ta koniczynka szczęścia temu żołnierzowi ani mnie, był to też człowiek taki jak ja albo dyżurny ruchu, pan Całusek, nie miał żadnych odznaczeń, żadnego stopnia, a jednak postrzeliliśmy jeden drugiego, jeden drugiego doprowadziliśmy do śmierci, chociaż z pewnością, gdybyśmy się spotkali gdzieś kiedyś w cywilu, być może polubilibyśmy się, porozmawiali.

A potem rozległa się detonacja. I ja, który jeszcze przed chwilą cieszyłem się, myśląc o tym widoku, nadal leżałem obok niemieckiego żołnierza, wyciągnąłem rękę, otwarłem jego tężejącą dłoń i włożyłem w nią tę zieloną czterolistną koniczynkę, która przynosi szczęście, podczas gdy w oddali wzbijał się w niebo obłok w kształcie grzyba, rosnąc nieustannie o coraz to wyższe i wyższe piętra skłębionych chmur, słyszałem jak fala powietrza przebiega przez okolicę, gwizdząc i jęcząc w nagich gałęziach drzew i krzewów, jak potrzęsa łańcuchami przewodowymi w semaforze, jak uderza w moje ramię, jak porusza nim, ja jednak krztusiłem się i plułem krwią.

Do ostatniej chwili, dopóty, dopóki nie zacząłem tracić z oczu samego siebie, trzymałem tego zabitego Niemca za rękę i do jego nie słyszających już uszu powtarzałem słowa kierownika pociągu, tej „rakiety”, która przywiozła owych wynędzniałych Niemców z Drezna:

- Trzeba było siedzieć w domu na dupie...



Bohumil Hrabal, początek lat czterdziestych

– To było tak – opowiadałem wprost w ucho pana zawiadowcy. – Ostatni nocny pociąg osobowy już odjechał, a od zmierzchu siedziała z nami w kancelarii dyżurnego ruchu pewna wytworna dama, pijąc wino i paląc papierosy. Przed północą dyżurny ruchu, pan Cafusek, mówi do mnie: „Miłoszu, wprawdzie jesteś dopiero praktykantem, ale ja mam do ciebie zaufanie. Posiedzisz tu za mnie jakieś dwie godzinki!”. A więc zgodziłem się go zastąpić, zaś dyżurny ru-

chu, pan Cafusek, udał się z ową damą do gabinetu pana zawiadowcy. Przyłożyłem ucho do drzwi i słyszę: „Ciało ma swoje wymagania, koteczku, ciało ma swoje prawa...”.

– A to świnia wstrętna, a to wieprz nieczysty! – Pan zawiadowca podniósł się i ponad poruszającymi łebkami i gruchającymi gołębiami spoglądał na peron, gdzie stał dyżurny ruchu.

(fragment)

ISBN 83-88612-17-4

